MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 52 WARSZAWA, 20 GRUDNIA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

POLITYKA SPOŁECZNA I SPRAWA ROBOTNICZA

Nowoczesne państwo poczuwa się do obowiązku udzielania pomocy pewnym warstwom, ekonomicznie słabszym; łagodzi, między innemi, przez specjalne ustawodawstwo społeczne przeciwieństwa między warstwami społecznemi, przesuwając rozdział dochodu społecznego na korzyść warstw, które uchodzą za pokrzywdzone tym rozdziałem. Obowiązek ten uznaje państwo w imię chrześcijańskiej nauki, w imię *caritas*, która wiąże ludzi w jedną całość, jest moralną podstawą stosunków społecznych. Równocześnie gdy uznaje się, że naród jest jednością i całością, niemożna też odrzucać zasady ustawodawstwa społecznego, a trzeba ją rozwinąć zgodnie z dobrem narodu.

Polityka społeczna państwa nakłada różne ciężary na gospodarstwo narodowe, w szczególności na te grupy społeczne, które reprezentują większą siłę podatkową. Ciężary te mogą być albo bezpośrednie, wyrażać się w daninach, które np. płaci przemysł na cele socjalne, albo też pośrednie, w postaci ograniczeń czasu pracy, jej warunków zdrowotnych, opieki nad robotnikami po fabrykach i t. d. Ciężary społeczne są dla przedsiębiorcy jednym ze składowych pierwiastków kosztów produkcji. W pewnych przypadkach ponosi je przedsiębiorca ze swego dochodu, w innych przerzuca je na odbiorcę swych produktów. W ostatniej instancji możność ponoszenia tych ciężarów zależy od rentowności produkcji. Gdy koniunktura jest dobra, gdy kapitał łatwo się gromadzi, wytwórczość nie odczuwa silnie tego ciężaru. Upadek rentowności pociąga za sobą albo konieczność ich redukcji, albo też kurczy się i likwiduje przedsiębiorczość, która nie może ich udźwignąć.

Polityka społeczna państw już przed wojną ustaliła swoje metody i kierunki. Po wojnie nabrała nowego rozpędu; inne urządzenia społeczne przerzuciły się na kraje, w których ich dotyczczas nie było. Ale pod wielu względami zaszła gruntowna zmiana w położeniu warstw, na rzecz których prowadzi się politykę społeczną. Oto przed wojną nie istniało w większych rozmiarach zagadnienie bezrobocia. Bezrobocie było albo zjawiskiem sezonowem, albo też następstwem periodycznych przesileń gospodarczych. Ożywienie gospodarcze wchłaniało rychło tych bezrobotnych. Przed wojną bodaj że więcej, przynajmniej w niektórych krajach, dawał się we znaki brak sił roboczych, aniżeli ich nadmiar.

Po wojnie bezrobocie przybrało ogromne rozmiary. Stało się zjawiskiem chronicznem. Nawet w czasie najwyższego rozpędu gospodarczego nie wszędzie wytwórczość potrafiła wchłonąć wszystkich poszukujących pracy; w niektórych krajach istnieje niejako stały kontyngent bezrobotnych, z którym niewiadomo co począć. Do pozbawionych pracy robotników fabrycznych dołączają się masy zdeklasowanych kupców, rzemieślników, a także i bezrobotnej inteligencji. A więc naczelnem zadaniem społecznem staje się nie określenie warunków. w których odbywa się praca, wysokość wynagrodzenia za nią, lecz dostarczenia pracy masom ludności, które tej pracy nie mają — krótko mówiąc — zwalczenie bezrobocia.

Usuwać i łagodzić skutki tej klęski społecznej można na dwóch drogach; albo przez szeroko pojętą opiekę społeczną, albo też przez politykę gospodarczą. Albo się bezrobocie przyjmuje za fakt, w stosunku do którego państwo w danej chwili jest bezsilne; wtedy dba się o to, by ci bezrobotni nie marli z głodu, by nie żyli w stanie krańcowej depresji psychicznej, a więc otrzymują oni renty ubezpieczeniowe, zasiłki, pomoc publiczną. A zaś polityka gospodarcza zmierza do tego, by usunąć bezrobocie, czy to bezpośrednio przez

organizację robót publicznych, czy też pośrednio, przez ożywienie całej wytwórczości.

O ile gospodarstwo narodowe jest ubogie, niska siła płatnicza ludności, a wielkie bezrobocie, wówczas dźwignięcie ciężaru skutecznej opieki nad bezrobotnymi staje się niepodobieństwem. Może na to pozwolić sobie Anglja, na której zasobność składają się olbrzymie kapitały, rozrzucone po całym świecie. Na kontynencie europejskim nie ma państwa, któreby mogło sobie pozwolić na stałe utrzymywanie z funduszów publicznych setek tysięcy bezrobotnych. I w tych państwach, szczególnie w Polsce, trzeba klęskę bezrobocia przezwyciężyć na drodze gospodarczej. Nie stać nas na to, by żywić i odziewać masy ludności, pozbawione pracy; trzeba stworzyć warunki, w których ci bezrobotni mają tę pracę. A to zadanie wiąże się z całością polityki gospodarczej i finansowej. W a l k a z b e z r o b o c i e m o b e j m u j e c a ł y p r o g r a m g o s p o d a r s t w a n a r o d o w e g o. Nasze bezrobocie nie wynikło z utraty czy skurczenia się dawnych rynków zbytu, z przerostu industrializmu, jak np. w Anglji i źródłem jego jest poprostu dysproporcja między małym kapitałem a wielkim zasobem siły roboczej. Każdy akt polityki gospodarczej, który usuwa tę dysproporcję, oczywiście przez zwiększenie kapitału produkcyjnego, zmniejsza bezrobocie.

Wiodą do tego różne drogi, o których była już poprzednio mowa. W tej chwili trzeba wskazać na jedno: o b o w i ą z k i e m p a ń s t w a j e s t n i e r o b i ć n i c z e g o, c o b y m o g ł o, c h o ć b y p o ś r e d n i o, w y w o ł a ć w z r o s t b e z r o b o c i a. Wszelkie ciężary nakładane na gospodarstwo, czy to na ogólne cele państwowe, czy też specjalnie na cele polityki społecznej, mają granicę w opłacalności produkcji. Gdy wywołują jej zmniejszenie, wyraża się to w redukcji stanu zatrudnienia, Jeżeli kierownik warsztatu woli nie donajmować nowej siły roboczej, gdyż ze względu na różne podatki i opłaty przestaje się to rentować, wówczas wynika z tego większa strata dla gospodarstwa, aniżeli pożytek ze zwiększonego dochodu publicznego. Pragnie się np. zdobyć fundusze na zatrudnienie bezrobotnych, a tymczasem nadmierne obciążenie produkcji w daleko wyższym stopniu powiększy bezrobocie.

Polityka społeczna państwa musi się liczyć zarówno z tymi, którzy mają pracę, jak z tymi, którzy pracy nie mają. Nie może skupić swej uwagi jednostronnie na losie ludzi, żyjących z pracy najemnej, nie uwzględniając wpływu tej polityki na stan zatrudnienia. Niemniej jednak istnieje zagadnienie robotnicze, nie tylko zagadnienie bezrobocia. Istnieje zagadnienie ludzi, którzy oddają w najem swą siłę roboczą, żyją z wynagrodzenia za pracę, pozostają w zależności od pracodawcy. R o b o t n i k w g o s p o d a r s t w i e n a r o d o w e m j e s t r ó w n o u p r a w n i o n y z i n n y m j e g o u c z e s t n i k i e m; ma prawo walczyć o poprawę swego bytu w granicach jedności gospodarstwa narodowego i ma prawo do opieki ze strony ustawodawstwa państwa.

Najpierw sprawa wysokości wynagrodzenia za pracę: Gdyby się chciało to wynagrodzenie normować w drodze ustawodawczej czy administracyjnej, państwo musiałoby przejąć kierownictwo przedsiębiorstw. Ale robotnik nie jest zdany, nawet bez interwencji państwa, na łaskę i niełaskę losu. Najpierw dlatego, że o d p o w i e d n i e g o p o z i o m u p ł a c w y m a g a n i e o d p a r t y i n t e r e s g o s p o d a r s t w a n a r o d o w e g o, a powtóre dzięki temu, że w a r s t w a r o b o t n i c z a p r z e d s t a w i a w i e l k ą s i ł ę s p o ł e c z n ą i p o l i t y c z n ą.

Ze stanowiska skrajnego egoizmu można twierdzić, że przedsiębiorca jest w tem zainteresowany, by jak najmniej płacić robotnikowi. Ale jeżeli spojrzymy na gospodarstwo narodowe jako na całość, sprawa ta wystąpi w innem świetle. Robotnik jest nie tylko uczestnikiem produkcji, lecz także i konsumentem, nabywcą towarów, wytwarzanych przy jego udziale. Produkcja przemysłowa w małym stosunkowo stopniu jest obliczona na zbyt zagraniczny, zwłaszcza u nas, a przedewszystkiem zależy od rynku wewnętrznego. Przemysł nasz produkuje głównie artykuły masowej konsumcji, a nie artykuły zbytku nielicznej grupy ludności. A więc między wielkością produkcji przemysłowej a wielkością udziału robotników w rozdziale dochodu społecznego zachodzi związek; wzrost produkcji musi wywołać wzrost udziału robotników w jej przychodzie, ponieważ robotnicy są konsumentami. Poza drugorzędnymi antagonizmami, istnieje wspólność interesów wszystkich uczestników gospodarstwa narodowego; nie może dzisiaj po jednej stronie gromadzić się olbrzymie bogactwo, a po drugiej miliony ludzi z głodowemi płacami.

Nie negujemy więc znaczenia siły nabywczej ludności robotniczej. Ale dzisiaj, gdy tylu ludzi jest bez pracy, możliwe do uruchomienia kapitały należy przedewszystkiem obrócić na dodatkowe zatrudnienie tych, którzy albo nie mają pracy, albo też nie pracują przez pełny tydzień. Taki wzrost zatrudnienia nie doprowadzi do zwyżki cen, którаby obróciła w niwecz wszelkie zwyżki płacy, uzyskane w warunkach, w których nie wzrosło zatrudnienie. Nie przeczymy, że dzisiaj nieraz zarobek robotnika jest za niski i to zarówno w prywatnym przemyśle, jak i w państwowej przedsiębiorczości (roboty publiczne). Uznajemy moralny obowiązek prawdziwy wynagrodzenia robotników w sposób godziwy. Ale w tej chwili najważniejszą jest rzeczą doprowadzić przez wzrost zatrudnienia do wzrostu konsumcji i wtedy istotnie wzrośnie siła nabywcza ludności robotniczej i jej udział w rozdziale dochodu społecznego.

Robotnik ma prawo upominać się o wysokość swego wynagrodzenia i o warunki swej pracy. M a p r a w o d o w s p ó l n e j o b r o n y t w o r z y ć z w i ą z k i z a w o d o w e. P r a w o k o a l i c j i r o b o t n i c z e j j e s t o d p o w i e d n i k i e m p r a w a z r z e s z a n i a s i ę p r a c o d a w c ó w d o c e l ó w o b r o n y i c h i n t e r e s ó w. Te zrzeszenia po dwóch przeciwnych stronach nieraz prowadzą do konfliktów, do lokautów czy strejków. Walki między pracodawcami a pracownikami są wielkiem marnotrastwem kapitału i siły roboczej, są walkami, które po obydwu stronach zostawiają straty materialne i moralne. Jeżeli się chce widzieć w ostrem tempie tych walk wyraz międzynarodowej solidarności kapitału czy proletariatu, należy pamiętać o tem, że bardzo często kapitał jednego kraju finansuje strejki w drugim, by osłabić jego siłę konkurencyjną.

Walka społeczna, wyrażająca się w przerwaniu pracy, może być tylko *ultimum refugium*; może dojść do niej wówczas, gdyby zawiodły już wszelkie sprawy pokojowego załatwienia zatargu.

Do obowiązków państwa należy przeciwdziałanie wybuchowi strejku czy lokautu; narzędziem tego jest próba rozjemstwa względnie stosowanie arbitrażu w przypadkach, w których umożliwia go rodzaj zatargu. Ale dopuszczalność strejku czy lokautu musi być uwarunkowana przez to, że ten zatarg nie może podrywać podstaw gospodarstwa narodowego i prawidłowego funkcjonowania państwa. Nie można dopuszczać do wybuchu strejków w przedsiębiorstwach użyteczności publicznej, gdzie przerwanie pracy grozi sparaliżowaniem najbardziej życiowych funkcji państwa.

Współżycie przedsiębiorcy z robotnikiem zależy w pewnej tylko części od ustawodawstwa, które samo w oderwaniu od całości życia narodu, działa czysto mechanicznie. *Vanae sine moribus leges*. Wspólność narodowa musi się zaznaczyć także i w gospodarstwie. Jeżeli chce się doprowadzić do porozumienia między przedsiębiorcą i robotnikiem, trzeba by mówili jednym językiem w dosłownym wyrazu znaczeniu. Inaczej te stosunki ułożą się wówczas, gdy i przedsiębiorczość znajdzie się w polskich rękach. Nie znajdzie się jakiegoś żelaznego prawa, któreby określało dokładnie udział poszczególnych uczestników w rozdziale dochodu we wspólnej produkcji. Rozstrzygnięcia te muszą być dokonywane na podstawach poza gospodarczych, na gruncie wspólnego zrozumienia, że gospodarstwo jest częścią większej narodowej całości i służy jej wyższym celom.

(Dok. nast.) ROMAN RYBARSKI

SPRAWA RUSKA NA ZIEMI CZERWIEŃSKIEJ

V. FAŁSZYWE HASŁA

Po kilkunastu latach rządów polskich na Ziemi Czerwieńskiej i na Kresach Wschodnich doszliśmy do przekonania, że polskość, z którą zaborcy nie umieli dać sobie rady, cofa się na tych ziemiach, ustępując miejsca żywiołom dla Polski niepewnym, a niekiedy nawet wrogim. Ustępuje na wsi, ustępuje także w miastach. Widzą to nawet ugrupowania zbliżone do sfer rządowych, n. p. dawne Zarzewie, które publicznie nanawołuje rząd do ochrony własności polskiej, utrzymania jej w ręku włościan polskich i do innych zarządzeń w interesie ludności polskiej. Także w pismach konserwatywnych (Czas, Słowo), a nawet w Kurierze Polskim, organie przemysłowców, znalazły się artykuły, domagające się zmiany dotychczasowej polityki na Kresach.

Nie widać dotąd żadnych skutków tego nawoływania, ponieważ nasi defetyści wynaleźli hasła wyższe rzekomo ponad interesy narodowe, które mają być przeszkodą żywego i skutecznego zaopiekowania się polskością na Kresach. Oto niektóre z tych fałszywych haseł:

Nie można drażnić Rusinów i Ukraińców, przecież oni są równouprawnionymi obywatelami Rzeczypospolitej. Dziwne zaiste rozumowanie. Nie drażni to wcale Polaków, jeżeli Ukrainiec osiedli się pod Krakowem, Poznaniem lub w Gdyni, nie drażni Włochów, gdy ich rodacy przenoszą się z miast i z okolic gęsto zaludnionych na rolę do miejscowości słabiej zaludnionych, nie drażni to rolników francuskich, gdy obok nich osiedli się rolnik polski lub Włoch, ale drażni to obywatela polskiego Rusina czy Ukraińca, gdy obok niego na ziemi polskiej od wieków w miejsce większego gospodarza ziemianina osiedli się włościanin Polak! Coś tu jest w nieporządku. Snać ten, którego nowy sąsiad drażni, ma nieczyste sumienie, bo widocznie snuł w swojej duszy niedobre zamiary i nielojalne myśli. A może jest on niewinny, a tylko jego wodzowie polityczni snują takie zamiary? Wszak dowiadujemy się z książki Tommasiniego, długoletniego posła włoskiego w Warszawie, że w r. 1923 sam Mussolini naglił o zatwierdzenie granic wschodnich Polski przez Radę Ambasadorów, ponieważ Polska potrzebuje terenów na Wschodzie dla swej ekspansji! Czy Wołyń stracił czy zyskał przez to, że osiadła tam na kresowych ziemiach garść naszych dzielnych wojskowych osadników? Czy ich gospodarstwa nie są wzorem dla sąsiadów, a ich działalność nie jest ośrodkiem życia kulturalnego w całej okolicy? Jakże ubolewać należy nad tem ze stanowiska państwowego, kulturalnego i gospodarczego, że tak drobną tylko garstkę wojskowych dopuszczono tam do osadnictwa, gdy liczba podań o działki ziemi sięgała podobno poważnej liczby stu tysięcy! Dziwne to nasze przeczulenie, gdy w grze są najwyższe interesy państwowe i narodowe. Mieliśmy posłankę, która dotychczas zajmuje wpływowe stanowisko w administracji szkolnej we Lwowie, której nie drażniły antypaństwowe deklaracje ukraińskie, ale drażnił ją pietyzm Polaków dla bohaterów-dzieci, które obroniły Lwów przed najściem zbrojnym ukraińców i którym poświęcono nazwę ulicy i osobny cmentarz, otoczony czcią całego społeczeństwa polskiego. Ludzie tak przeczuleni nie dorośli do tego aby mieć własne niepodległe państwo, bo niepodległość nie tylko daje prawa, ale także nakłada wielkie obowiązki dla jej utrwalenia. Do obowiązków tych należy też umacnianie patriotyzmu, krzewienie i pogłębianie czci dla ofiarnych twórców wolności narodu, bez względu na to, czy się to komu podoba lub nie podoba.

Drugie fałszywe hasło znaleźli demagodzy, którzy w szybkim wykonaniu reformy rolnej widzą zbawienie ojczyzny. Dzisiaj nie wielu jest takich którzyby nie uznawali potrzeby reformy rolnej w kraju o największym w Europie przeludnieniu w rolnictwie. Ale reforma rolna jest jednym ze środków uregulowania stosunków społecznych w Polsce w interesie siły państwa i narodu ale nie przeciwko państwu i narodowi polskiemu. Rozumieli to doskonale politycy ruscy i ukraińscy, dlatego też byli przeciwnikami reformy rolnej tak długo, dopóki się nie przekonali, że ta reforma może być w dzisiejszej „koniunkturze politycznej" przeprowadzona na ich korzyść bez względu na naturalnych i uprawnionych dziedziców ziemi polskiej. W takiej koniunkturze stali się oni, owszem, zwolennikami reformy rolnej i zgłaszają się nie bez powodzenia do spadku po dziedzicach polskich. Czego nie można było osiągnąć pod

obcym zaborem w drodze strajków rolnych i przymusowego wykupu ziemi polskiej przez rząd austriacki, jakiego domagali się radykalni posłowie ruscy, to może być dokonane w Polsce na podstawie polskich ustaw i przez polskich urzędników. Przed nastaniem tak pomyślnej konjunkury reforma rolna była dla ukraińców niepotrzebną, dzisiaj stała się rzeczą pilną i nagłą.

Dla przykładu, jak wychodzą Polacy na reformie rolnej, przytoczę udzielone mi autentyczne daty z województwa tarnopolskiego, w którym ludność polska wynosi wedle statystyki około połowy całej ludności.

Dotychczas rozparcelowano 254,000 ha., z tego w ręce ruskie 190,000 ha., czyli 80%, w ręce polskie 64,000 ha. czyli 20%. W tym województwie posiadają jeszcze ziemi Polacy 332,000 ha. Rusini 640,000 ha.

Pozostaje ziemi do parcelacji:

z wielkiej własności	200,000 ha.
z gromadzkiej „	5,000 ha.
z ruskiej wielkiej wł.	6,000 ha.
z żydowskiej	39,000 ha.
razem	250,000 ha.

Nawet jeżeli cała reszta wielkiej własności poskiej przejdzie w ręce Polaków, polska własność nie dorówna wcale ruskiej własności ziemi. Na podstawie ustawy o reformie rolnej Polakom należy się pierwszeństwo, ponieważ u Polaków jest 72% gospodarstw karłowatych, a brak gospodarstw średnich. A jednak są jeszcze szaleńcy, którzy tą resztą ziemi polskiej chcieliby obdzielić Rusinów i Ukraińców!

My Polacy stoimy w interesie państwa na stanowisku, że ziemia polska jest podstawą naszej siły narodowej, jak nią była w czasach zaborów i że nie wolno nam jej oddawać w obce ręce niepewne, czy Ukraińców, czy żydów. Przejście już dokonane tylu obszarów polskich w ręce niepolskie jest owocem zaślepienia politycznego, jest klęską państwa i narodu i nie może się nadal powtarzać. Nie mamy nic przeciw wykonaniu reformy rolnej, ale tylko w ręce Polaków miejscowych lub osadników. Gdy takich nabywców na razie nie ma, należy się wstrzymać z jej wykonaniem. Chłop polski rozradza się i rozradzać się będzie w przyszłości. Ziemi potrzebuje nie tylko on sam, ale będą jej potrzebować wnuki i prawnuki. Już dzisiaj należy o tem myśleć, co będzie wówczas, gdy ziemi w Polsce do podziału nie starczy? My, narodowcy, przewidujemy to i wskazujemy z góry na miasta, na rękodzieło, przemysł, handel, zawody wolne, jako na ten nowy wielki rezerwuar, który ma pomieścić dzieci wsi i dać im utrzymanie we własnej ojczyźnie po stopniowem usunięciu się dotychczasowych dzierżycieli tych zawodów. Przewidują to także obcy trzeźwo patrzący żydzi, ostatnio n. p. znamiennym jest głos poważny angielskiego polityka lorda Melchiora. Rozumieją to dobrze sami Ukraińcy, którzy wielką uwagę poświęcają emigracji chłopa ruskiego do miast, stworzywszy całą sieć spółdzielni spożywczych i handlowych, skupiających się w miastach w hurtowniach handlowych i w przedsiębiorstwach produkcyjnych oraz burs dla wychowania dzieci chłopskich na kupców i rzemieślników. Nie bądźmy więc ślepymi wykonawcami haseł, lecz działajmy oględnie bez szkody dla najpierwszych podstaw naszego bytu narodowego. Kto hasła reformy rolnej nadużywa w tym celu, aby ziemię polską oddać jak najprędzej w ręce niepolskie, ten posługuje się fałszywem hasłem dla upozorowania działalności szkodliwej i niepatriotycznej.

Przypatrzmy się teraz trzeciemu hasłu, również fałszywemu, które głównie lęgnie się w umysłach, które odpowiedzialność za własną bierność pragną przerzucić na społeczeństwo polskie. Oto coraz częściej słyszymy takie uwagi: „Wszystko to prawda, polskość się cofa, ale winne jest temu samo społeczeństwo polskie. Ukraińcy są ruchliwi, aktywni, przedsiębiorczy, a Polacy bierni narzekają, żalą się, ale sami nic nie robią. Państwo nie może wyręczyć samego społeczeństwa“.

Jakże ma się na prawdę rzecz z tą aktywnością jednych, a biernością i niedołęstwem drugich?

Społeczeństwo polskie na Ziemi Czerwieńskiej wyszło z wojny światowej i z wojny bolszewickiej istotnie bardzo osłabione materialnie i fizycznie wskutek utraty wielu pracowników narodowych i społecznych oraz spustoszenia kraju przez Rosjan, bolszewików, i ukraińców. Żydzi, którzy przed wojną szli w przymierzu z polskim społeczeństwem, przerzucili się po wojnie częścią wprost na stronę ukraińską, częścią stali się „neutralnymi”, zapatrzonymi na własną ideę państwową. Ziemianie, podupadli materialnie, utracili dawną tężyznę polską i samodzielność, oglądają się za łaską z góry, za kredytami, zwolnieniami od podatków, zapominając z nielicznymi chlubnymi wyjątkami o obowiązkach narodowych. Wielu czynnych pracowników narodowych przeniosło się po wojnie do innych dzielnic Polski. Wszystko to jednak nie pozbawiłoby Polaków na tej ziemi samodzielności, aktywności, bezinteresownej pracy nad ludem, gdyby nie system polityczny, jaki w czasach pomajowych u nas zapanował. Tu na samym wstępie muszę się rozprawić ze zwyczajną repliką: „Przecież ten system krępuje na równi wszystkich, Polaków i Ukraińców“.

Otóż właśnie nie, albowiem Polacy zupełnie inaczej odnoszą się do swego państwa i do władz i organów państwowych, aniżeli Ukraińcy. Polacy uważają swoje państwo za własne i odnoszą się do władz państwowych pozytywnie, Ukraińcy, a przynajmniej ich wodzowie, marzą o idei ukraińskiej, odnoszą się do państwa polskiego negatywnie, uważając pobyt swój w naszym państwie za przejściowy, budują też we wszystkich swoich poczynaniach politycznych własne państwo ukraińskie w łonie państwa polskiego. To ich odnoszenie się do państwa polskiego, to ich „nastawienie” do władz polskich sprawia, że zakazy i inne zarządzenia władz i organów, które są im niedogodne, zwiększają ich aktywność, podczas gdy u Polaków zakazy i zarządzenia takie wywołują bierność i niechęć do pracy społecznej i narodowej. Wyjaśnię to na przykładzie: Gdy wyjechało naszych dwu akademików do Sichowa pod Lwowem, aby zachęcić włościan polskich do założenia spółdzielni, zjawił się policjant, który kazał chłopom rozejść się do domów, bo to jakaś nieczysta antypaństwowa sprawa. Chłopi rozeszli się spokojnie, a młodzi pracownicy powrócili do Lwowa. Cóżby w takim wypadku zrobili ukraińcy? Oto powiedzieliby sobie, że to jacyś dzielni ludzie, przeciw którym policjant polski występuje. Zaprosiliby akademików do prywat-

nego domu i założyliby spółdzielnię, jako rzecz korzystną dla narodu ukraińskiego, choćby na przekór władzom i policji polskiej. Przy tak różnym „nastawieniu" Polaków i Ukraińców do władz polskich potrzebują Polacy ze strony władz i organów życzliwej zachęty do podjęcia pracy społecznej, podczas gdy ukraińcy w ujemnym stanowisku władzy znajdują raczej podnietę do oporu i do zwiększenia swej aktywności. Temu oporowi, płynącemu z idei ukraińskiej, przeciwstawiającej się idei polskiej i istniejącemu porządkowi rzeczy, zawdzięczają ukraińcy swoją prężność na polu gospodarczym, która doprowadziła ich organizację gospodarczą do świetnego stanu.

Muszę nadto stwierdzić, że Rusini cieszą się pod okiem władzy o wiele większą swobodą i samodzielnością w swej pracy i w swoich organizacjach, aniżeli Polacy. Cóż uczyniono z naszym „Towarzystwem Szkoły Ludowej", które założono w stuletnią rocznicę Konstytucji 3 maja w r. 1891 celem ochrony naszego ludu od wynarodowienia na kresach zachodnich i na Ziemi Czerwieńskiej? Jakich to argumentów nasłuchałem się, jako jeden z wielu już pierwszych członków tego towarzystwa, na owym pamiętnym zjeździe krakowskim, który nadał towarzystwu zupełnie inny, przez założycieli nie przewidywany kierunek! Czy coś podobnego usiłowano przedsięwziąć w jednym z towarzystw oświatowych ukraińskich, w Biednej Szkole lub w Proświcie? A przecież wszystkie narodowe towarzystwa polskie, tak towarzystwa szkoły ludowej w dawniejszym składzie, jak organizacje narodowe, jak narodowa organizacja kobiet, jak Sokół, jak rozmaite towarzystwa lokalne polskie, nigdy się nie kryły ze swoją działalnością, były zawsze otwarte dla kontroli państwowej, bo tylko dla państwa i dla narodu pracowały i dzisiaj pracują w ramach bardzo ciasnych i w warunkach niezmiernie trudnych. Na kogoż spada odpowiedzialność za zwężenie ich dzialalności? Trzeba się liczyć z psychiką całego społeczeństwa polskiego. W samodzielnej pracy narodowej nie chce nikt nosić stempla rządowego, ale też mało jest takich ludzi gorących i wytrwałych, którzy mimo podejrzeń, a niekiedy nawet obawy prześladowań, garną się do pracy w imię wyższej idei, służby dla Ojczyzny.

Trzeba więc przyznać się do popełnienia błędów w polityce narodowej na Ziemi Czerwieńskiej i na Kresach, zamiast zwrócenia uwagi na społeczeństwo. Namnożyło się wolnej Polsce wielu materialistów, którzy uwierzyli w potęgę materji w wychowywaniu społeczeństwa, lekceważąc potęgę ducha ludzkiego. Z takiego to natchnienia wyszła owa „pacyfikacja", która nie złamała przeciwników, a wzmocniła siłę ich oporu, z podobnych pobudek zrodziła się idea wychowania państwowego, skierowana przeciw idei narodowej polskiej. Dzisiaj jesteśmy świadkami szerokiego otrzeźwienia pod tym względem, nie tracimy więc nadziei, że także materialiści dojdą do przeświadczenia, że budować należy wychowanie państwowe na idei narodowej, a nie odwrotnie. Wychowanie państwowe nie na tym polega, aby ktokolwiek miał się wypierać swojej narodowości i pracy narodowej, ale na tym, aby każdy obywatel zrozumiał, że jest obowiazany do wierności dla Rzeczypospolitej Polskiej i do posłuszeństwa Jej ustawom i władzom. Obywatele wszyscy powinni wiedzieć o tym, że mieszkają na ziemi polskiej, a nie ukraińskiej lub niemieckiej, że ideologia ukraińska w Polsce jest sprzeczną z kardynalnymi obowiązkami obywatela. Organami takiego wychowania są nie tylko szkoły państwowe, wojsko, urzędy, ale powinny być nimi także szkoły prywatne, podręczniki szkolne i lektura, kościół i cerkiew, prasa wszystkich narodowości, zgromadzenia publiczne. Nie żądamy od innych narodowości więcej ponad ich konstytucyjny obowiązek i ponadto, co w każdym państwie, nawet najliberalniejszym, jest uważane za naturalny i konieczny obowiązek obywatelski. Polska nie może być owym pochyłym drzewem, na które także kozy i inne stworzenia zuchwale i bezkarnie wspinać się mogą. Nie odmawiamy Ukraińcom prawa objawiania czci dla ludzi, których uważają za bohaterów narodowych. Każde społeczeństo powinno pamiętać o tych, którzy dla idei narodowej życie swe oddali. Nie drażni nas to, gdy czytamy, że w dniu 1 listopada kilkanaście instytucji ukraińskich odbyło we Lwowie uroczyste zebrania dla uczczenia swoich poległych bohaterów. Pragniemy jednak, aby zebrania takie odbywały się bez nienawistnych myśli i przemówień przeciw wspólnej nam wszystkim Rzeczypospolitej Polskiej.

Męska obrona ludu polskiego na Ziemi Czerwieńskiej i naturalnych uprawnień narodu polskiego nie uwłacza w niczem prawom narodowości niepolskich. Z Rusinami pragniemy żyć w najlepszej zgodzie i cieszyć się będziemy szczerze ich zdobyczami kulturalnymi i gospodarczymi, o ile one nie będą skierowane przeciwko Polsce jako wytwory idei separatystycznej. Odróżniamy też ściśle lud ruski i jego potrzeby i duchowe nastroje od „mocarstwowego" stanowiska polityków ukraińskich, którym się wydaje, że reprezentują mocarstwo „*in spe*" i traktują z rządem polskim jako mocodawcy tego mocarstwa. Przyznać należy, że do takiej pozy polityków, a także prasy ukraińskiej, przyczyniła się polityka federacyjna z pierwszych lat Rzeczypospolitej i układ z Petlura, za które cała Polska w wojnie z bolszewikami i po wojnie srodze odpokutowała. Dzisiaj chyba szaleńcy, życzyliby sobie w Polsce podjęcia ponownie takiej samobójczej polityki. Jest więc rzeczą konieczną, aby niepoprawni ukrainofile dowiedzieli się z ust powołanych, że ich marzenia i ideały sprzeczne są z nienaruszalną jednością obszaru państwowego Polski i nie dadzą się pogodzić z ich obowiązkami obywatelskimi. Organy publicystyczne uprawiające politykę hołdującą takiej ideologii powinny poszukać sobie innej siedziby poza granicami Polski. Po takim oczyszczeniu atmosfery politycznej w Polsce może owi mocarstwowcy ukraińscy obniżą swoj górny ton w stosunku do państwa polskiego i przestaną mówić i pisać o niespełnionych umowach i warunkach za głosowanie za budżetem wojskowym.... W każdym razie powinny zniknąć z horyzontu politycznego Polski wszelkie umowy i traktaty z narodowościowymi grupami, które muszą się skończyć, jak wszelkie tego rodzaju umowy, bankructwem, a nie są zgodne z majestatem Rzeczypospolitej: Politycy ukraińscy dzisiejszego pokroju znikną z czasem, ale lud ruski pozostanie. Z ludem dojdzie Polska bez osobnych układów do porozumienia praworządnością, sprawiedliwością i troskliwą dbałością o jego potrzeby kulturalne i gospodarcze.

STANISŁAW GŁĄBIŃSKI

SANTOK

LINIA kolejowa łącząca Prusy Wschodnie ze stolicą Rzeszy, po przebyciu polskiego Pomorza między Tczewem i Chojnicami, biegnie następnie przez czas dłuższy wzdłuż północno-zachodniej granicy województwa poznańskiego. Ważny ten szlak komunikacyjno-handlowy zadecydował, jak wiadomo. o odłączeniu od Wielkopolski pamiętnej staszicowskiemi wspomnieniami Piły. Ale nie tylko ta jedna miejscowość, dziś siedziba regencji i licznych władz pruskich, budzi historyczne wspomnienia. Wieczorny pociąg pośpieszny mija szybko Krzyż, węzłową stację graniczną na linji łączącej Poznań ze Szczecinem, i wciąż trzymając się prawego brzegu Noteci zbliża się do miejsca, gdzie rzeka ta wpada do Warty. W miejscu połączenia obydwóch rzek, na terenie brandenburskiej już Nowej Marchii, leży Santok. Miejscowość, dziś głośna wykopaliskami archeologów niemieckich, nie małą kiedyś odegrała rolę w dziejach Polski. Turysta z pośpiesznego pociągu, który biegnie w tem miejscu torem przeprowadzonym na połowie wysokości stromego stoku, zauważył z pewnością podchodzący blisko nurt rzeki, ale niewielki pagórek, na drugim jej nizinnym brzegu, z łatwością mógł ujść jego uwagi. Lepiej był on znany flisakom rzecznym, którzy w tem miejscu pokonywać musieli trudności żeglugi z racji znacznego zwężenia rzecznego koryta, a może i dzisiejsi kajakowcy rzucili nań niekiedy okiem w swych wędrówkach wodnych. W pagórku tym — wieś dzisiejsza położona jest na drugim brzegu u stóp stromego stoku — kryją się skarby bezcenne dla tych, którzy ze śladów kultury materialnej potrafią odczytywać przeszłość. Mamy tutaj na myśli prehistoryków i archeologów wczesnohistorycznych. Ale i historyk, który zna dzieje Santoka z kroniki i dokumentów, nie może przejść obojętnie obok tych naprawdę „rzeczowych" dowodów zaszłych kiedyś faktów, a w podobnej sytuacji znajdzie się prawdopodobnie i geograf, czy nawet polityk i wreszcie każdy człowiek zastanawiający się nad związkami przeszłości z teraźniejszością.

Pagórek santocki, skazany na zagładę w związku z poszerzeniem koryta rzeki w celu ułatwienia żeglugi już jesienią r. 1932 i w ciągu dwóch lat następnych był przy tej okazji gruntownie przeszukany przez archeologów niemieckich, a wyniki tych badań, w połączeniu z pracami historyków tyczącemi się Santoka, udostępnione zostały świeżo w obszernej publikacji.[1]) Badania archeologiczne dotyczyły jednak głównie t. zw. małego grodu, któremu odpowiada wspomniany pagórek czyli sztuczny wał ziemny, gdy tymczasem sąsiedni wielki gród santocki pozostał w przeważnej części nieznany. Ale już to co dziś wiemy z nowych wykopalisk pozwala na stworzenie obrazu przeszłości, zasługującego na baczną uwagę. Dzieje Santoka zaczynają się bardzo wcześnie, gdyż przynajmniej w X wieku, kończą się zaś w początkach wieku XVIII, a więc już późnych czasach brandebursko-pruskich. Najważniejsza przecież część tych dziejów należy niewątpliwie do czasów polskich i wśród 12 kolejnych budowli małego grodu santockiego najbardziej interesujące są 6 względnie 7 grodów najdawniejszych.

Początków dziejów Santoka należy szukać w burzliwych czasach plemiennych, które poprzedziły powstanie państwa Piastów. O znaczeniu Santoka rozstrzygało samo położenie geograficzne. Dawny gród leżał na prawym brzegu Warty (dziś na lewym) i lewym Noteci, czyli w samych widłach rzecznych.[2]) Strategiczna sytuacja Santoka była jednak zawsze ta sama, gdyż nie linia Warty, lecz linia Noteci-Warty, w kierunku ze wschodu na zachód, stanowiła granicę, ale tylko strategiczną, Wielkopolan i Pomorzan zachodnich. Którego z tych krajów gród santocki bronił, to wynika również z samego naturalnego położenia. Santok — wbrew Lüpkemu — był zasłoną dla wielkopolskiej niziny. Dane późniejsze wskazują na zasiedlenie również i północnego brzegu Noteci - Warty przez Wielkopolan, ale to nie zmienia zasadniczo obronnego znaczenia tej właśnie linii. Pierwszy gród santocki, zbudowany przy przejściu rzeki w największem jej miejscu, był więc grodem plemiennym wielkopolskim a nie pomorskim. Drugi gród pochodzi z czasów Bolesława Chrobrego. Trzeci z czasów, które po nim nastąpiły. Czwarty z czasów Bolesława III Krzywoustego. Wreszcie piąty z początków doby dzielnicowej. Znaczenie swoje strategiczne i handlowe zachowywał Santok wciąż dawne. Wszystkie wspomniane grody były w całości drewniane. Mogą być też postawione w jednym rzędzie z wykopaliskami w Wolinie, Opolu a w pewnej mierze nawet z wczesnohistoryczną częścią wykopalisk biskupińskich.

Dopiero szósty gród, z czasów Henryka Brodatego śląskiego, pod którego władzą znajdowała się również znaczna część Wielkopolski, zna już pewne zastosowanie kamienia. Według Lüpkego, Doppelfelda i innych współpracowników wspomnianego wydawnictwa był to już gród „niemiecki", czemu jednak sprzeciwiają się właśnie dane historyczne. Na lata już po Henryku Brodatym przypadają właściwe czasy bohaterskie Santoka, gdy znalazł się on ponownie w rękach wielkopolskiej linii Piastów. Pierwsze zakusy Brandenburczyków o ten gród doprowadziły do chwilowego tylko powodzenia i rozbiły się wkrótce potem o opór zorganizowany przez utalentowanego i rycerskiego księcia, Bolesława Pobożnego, męża błogosławionej Jolanty. Losy Santoka związały się w tym czasie dość niespodziewanie z dziejami Pomorza Gdańskiego. Dopiero po wyparciu Brandenburczyków z Gdańska wspólnemi siłami Bolesława Pobożnego i pomorskiego Mszczuja II w styczniu r. 1272, wrócił Santok do Wielkopolski. Pozostał też w rękach Piastów wielkopolskich aż do tragicznej śmierci króla Przemysła II w środę popielcową r. 1296. Z dziejami temi łączy się przeszłość siódmego grodu santockiego, a dopiero ósmy gród był już grodem brandenburskich Askańczyków.

[1]) *Zantoch. Eine Burg im deutschen Osten herausg. von A. Brackmann und W. Unverzagt T. Erster Teil. Zantoch in der schriftlichen Uberlieferung und die Ausgrabungen 1932/33 von J. Baas, A. Brackmann, O. Doppelfeld, H. Lüpke, W. Unverzagt* (*mit 39 Abbildungen im Text und auf 15 Tafeln une mit 13 Plänen*). *Lipsk 1936* (*w wydawnictwie Deutschland und der Osten. Quellen und Forschungen zur Geschichte ihrer Beziehungen. B. I.*).

[2]) Nazwa Santoka od spływu rzek.

Odtąd Santok stał się pogranicznym grodem na niemieckim wschodzie, jakkolwiek parokrotnie jeszcze bywał „zagrożony" od strony polskiej, a jeszcze w XVII wieku nie utracił w zupełności swego polityczno-strategicznego znaczenia.

Przeglądając plany i fotografie niemieckiego wydawnictwa przedewszystkiem jednak musimy zauważyć solidność budowy dawnych grodów drewnianych z czasów polskich. Przez kulturę materialną łączą się czasy wczesno-piastowskie z dawną dobą słowiańską, która im służy jako podbudowa. Wiek XIII, okres zmian nie tylko w kulturze materialnej ale również w prawie i organizacji społecznej, spowodował kryzys. Przyswojenie sobie zachodnich zdobyczy leżało jednak nie tylko w granicach możliwości ówczesnej Polski, ale w znacznym nawet stopniu zostało przeprowadzone, a nie inaczej było w samym też Santoku. O przyszłych losach Santoka zadecydowały dzieje polityczne. Przyczyną ostatniej porażki na tym gruncie był z jednej strony nacisk i bezwzględność Brandenburczyków, którzy nie cofali się przed użyciem żadnego środka, ażeby tylko swój cel osiągnąć. Z drugiej strony była to chwilowa słabość samej Polski, która najsilniej wystąpiła nie w okresie podziałów dzielnicowych lecz w momencie przezwyciężania tego stanu. Santok okazał się w rezultacie poważną zdobyczą w przebiegu niemieckiego „*Drang nach Osten*". Ale samo to parcie na wschód nie wynikało z jakiejś nieuniknionej konieczności dziejowej, lecz z rozgrywki jedynie politycznej, która jeszcze za Bolesława Pobożnego przyniosła Brandenburczykom niepowodzenie, a dopiero po usunięciu przez zamach Przemysła II rozstrzygnęła się na ich korzyść. Była to poprostu sprawa czujności, ciągłości polityki i gotowości wojennej.

W zakresie kultury niesłusznie przeciwstawia się w nauce niemieckiej, tak dawniejszej nieco jak i dzisiejszej, epoce niemieckiej wcześniejszą słowiańską. Tak było w krajach na dalszym zachodzie położonych, gdzie miejscowe szczepy słowiańskie, mimo swej stosunkowo bogatej i bardzo starej kultury „drewnianej", nie zdołały przejść od niej do kultury zachodniej („kamiennej"), jak to uczynili przedewszystkiem Polacy, a obok nich także Czesi. Na ziemiach, które do państwa polskiego należały, jakkolwiek później również zostały utracone, przeciwstawienie takie nie znajduje uzasadnienia.

KAZIMIERZ TYMIENIECKI

ROSJA PRZEZ PRYZMAT LITERATURY

TERAZ dopiero udało mi się pożyczyć i przeczytać „Piotra Pierwszego" Aleksego Tołstoja. Na recenzję zapóźno już — o rok bezmała. Jest to jednak dzieło tak wybitne, tak trwałe i niesezonowe, że i teraz wolno bodaj wypowiedzieć o niem parę uwag, Tembardziej, że nie będą one miały charakteru recenzji.

Należę do pokolenia, które nie zna już Rosji z bezpośredniego z nią zetknięcia. Kiedyś widziałem ponoć rosyjskich sołdatów w długich szynelach, ale było to jeszcze w tych czasach, kiedy po ziemi biegały krasnoludki, w każdym krzaku ukrywali się indjanie, a w mroku nocnym, za oknami, czaił się na niegrzeczne dzieci zły dziad z haczykiem na wędce. Moskale w szarych szynelach wkroczyli do bajki mego dzieciństwa, zrównali się i pokumali z innymi jej postaciami — i tak ich widzę we wspomnieniu, pozbawionym charakteru rzeczywistości. Sądzę więc, że w tym stanie rzeczy nie reakcja na dzieło literackie, ale wrażenie wyniesione z zetknięcia się, za jego pośrednictwem, z Rosją jest tu interesujące. A dzieło Tołstoja jest niezmiernie pouczające. Jest to epopeja do tyla n a r o d o w a, ze stawia przed oczyma żywy obraz Rosji, pozwala odczuć dziki i groźny, a zarazem dobrotliwy i senny posmak rosyjskiego ducha. Co więcej — ta książka pozwala wniknąć w to, jak się te paradoksy godzą w jedności narodowego ducha. Ukazuje ona bowiem mechanizm rosyjskiego narodu w jego żywem działaniu, rozbiera go i odkrywa poszczególne jego kółka i tryby. Tołstoj robi przekrój Rosji, poprowadzony przez wszystkie jej warstwy. Na tle krajobrazu miast i wsi pokazuje cara i bojarów, popów i patryarchów, szlachtę, żołnierzy, kupców i chłopów. Nie pomija nawet rzezimieszków, żebraków i opętanych. Intencja pokazania narodu w jego obfitej i złożonej całości, odbija się na budowie powieści. Tołstoj pisze ją krótkiemi rozdziałami, przenosząc wzrok czytelnika w coraz to inną stronę. Rozdziały te układają się w bogatą mozajkę. Na jednej płaszczyźnie tej mozajki widzi się całą Rosję, ułożoną ze wszystkich jej kamyków, żcalonych jednością artystycznej konstrukcji w obraz kompletny narodu. Nawet we wrażeniu ogólnem pozostaje ów przepych barw, gigantyczność rozmiarów i groza o szeroko otwartych, niewidzących oczach — to wszystko, czego wrażeniom dostarcza sztuka bizantyjskiej mozajki.

Dla pokolenia, które Rosję poznaje za pośrednictwem literatury, gdy wjazd do tego kraju jest trudny, a i to, co tam pokażą, niebardzo godne wiary, cenną jest możność postawienia sobie przed oczami tak wyraźnego obrazu. Wiele z tych rzeczy, które wiemy o Rosji, zyskuje przez to czytelność i konsekwencję. A jest to kraj, mimo bliskiego sąsiedztwa, tak dla nas obcy i daleki, że zrozumienie jego ducha jest trudne.

Niedawno temu czytałem jakąś powieść rosyjską, przedstawiającą czasy wielkiej wojny. Nie pamiętam już ani nazwiska autora, ani tytułu powieści. Ale mniejsza o to. W tej chwili interesuje mnie to, że czytając ją nie mogłem się zupełnie połapać w obrazie Rosji, jaki w niej znalazłem. A był to obraz zrobiony z jakąś ekshibicjonistyczną pasją odkrywania wszystkiego, co nędzne i zgniłe, złe i głupie. Niedołęstwo armii rosyjskiej, bezmyślna i pijana bierność oficerów, tępa bierność żołnierzy, cyniczna niemoralność i karla skala duchowa popów, wszystko to, spotęgowane przez lekturę roboty literackiej, kłębiło mi się przed oczyma jak zły sen, jak to w snach bywa, pełen niekonsekwencji, niepojętego wynikania wątków. Nie rozumiałem ani tej postawy autora, krytycznej, aż do upodlenia, ani stosunków, które przedstawiał. Zamykając tę książkę, nie doszedłem do

niczego więcej, jak tylko do ogólnikowego określenia, że to dziwna powieść. Po przeczytaniu „Piotra” widzę, że to nie owa powieść ale Rosja jest dziwna, obca i niezrozumiała dla europejczyka. Tak obca, że niesposób swego jej rozumienia zamknąć w kilku krótkich zdaniach. Nie będę też silić się na to, by tu Rosję charakteryzować według tego, czego się o niej od Tołstoja dowiedziałem. Tołstoj uczynił z postaci Piotra symbol Rosji, zawierający w sobie w spotęgowanej postaci wszystkie cechy rosyjskiego charakteru. Proporcja nie jest tu może równa. Przeważa to, co czyni Rosję zdobywczą i idącą naprzód, w całej dzikości tego pochodu. Ale zestawienie tej postaci z tłem ospałych bojarów, pocących się w grubych szubach, pokornych a przebiegłych chłopów, wciąż buntujących się żołnierzy — daje obraz kompletny i w tem zestawieniu rysuje mi się wyobrażenie Rosji, wyniesione z lektury „Piotra Pierwszego”.

Szczególniej mocno chcę jedno tylko podkreślić. Oto lektura ta pozwala zrozumieć zjawisko rewolucji bolszewickiej i jeszcze dziwniejszy jej dalszy rozwój, który dziś nazywamy paradoksalnie nacjonalizowaniem się komunizmu. Gdy Piotr szaleje i włada, w znękanych nędzą masach ludu krążą wieści: „oto, chłopcy, niedługo odnajdą carską złotą hramotę i wszyscy będą wolni — żyj jak chcesz, spokojnie, syto, w zaciszu... ...Hramota krwią pisana. ...Powiedziano tam: żeby nie mieć litości, — wszystkich bogatych, wszystkich znamienitych z dworami, miastami i osadami, ze stołecznem miastem Moskwą — wymieść na czysto... Na pustem miejscu ustanowić kozackie wolne koła...” W Moskwie buntują się strzelcy. Ruszają hurmem na Kreml, zabijają kilku bojarów, potem ustanawia się nowe prawa, a na placu Czerwonym stawia się słup z wypisanymi na czterech jego stronach nazwiskami zabitych bojarów i wyliczeniem ich win. Marzenie o złotej hramocie i o słupie na placu Czerwonym nurtuje w masach i powtarza się jak motyw. Bunt i rzeź są ciągle motorem życia, zawsze aktualne, zawsze sprężone w nastrojach i czekające na wyładowanie. A tymczasem Piotr odprawia swą piatiletkę europeizowania Rosji. Goli brody bojarom i spędza tłumy skazańców na wielkie roboty w fabrykach broni i przy budowie okrętów. Łamie wiekowe, skostniałe tradycje, zaprowadza nowy ład, zapoczyna rosyjski imperializm.

W tem świetle perspektywy historycznej, bolszewizm ze swoją krwawą rewolucją, piatiletkami, Magnitogorskiem i imperializmem — jakże się wydaje narodowym ruchem rosyjskim, idącym, z samego jądra charakteru narodowego. Co innego, oczywista, doktrynalna strona komunizmu, choć i ta znaleść musiała w Rosji grunt szczególniej podatny. Ale doktryna komunizmu i udział międzynarodówki żydowskiej w rewolucji bolszewickiej — wydają się tu tylko aktualnemi warunkami okolicznościowemi ruchu, który korzeniami swemi tkwi w charakterze narodowym Rosji. I tutaj rysuje się jasno cała dla nas obcość komunizmu, wraz z obcością Rosji. Jego strona zwycięzka i budownicza, którą triumfalnie opiewają po świecie zwolennicy komunizmu, w tem zestawieniu odsłania całą swą azjatycką, obcą europejczykowi proweniencję. Entuzjaści Rosji sowieckiej, którzy od czasu do czasu w Polsce się odzywają, nie rozumieją zapewne, że imponuje im raczej Rosja, niż komunizm — ów rozmach piatiletki, jakże podobny do tego, z którym car Piotr odrabiał zaległości wobec Europy. Ten rozmach, trudno orzec, czy prawdziwy, czy tylko przez zorganizowaną reklamę opiewany, rozmach rosyjski, imponuje więcej niż doktryna. I jeśli zachwycenie nim, bardzo zresztą burżujskie i kawiarniano-inteligenckie, prowadzi kogokolwiek do marzeń o wprowadzeniu komunizmu w Polsce — to jest to dowód na to, jak mało Polskę znają ci marzyciele, że nie czują jej ducha i jego różnicy w stosunku do ducha Rosji. Zresztą zapały te najwięcej mają zwolenników wśród tubylców najmniej z duchem Polski związanych — wśród żydów.

Nacjonalizujący się komunizm rosyjski — to wydaje się paradoksem. Ale nie boję się łączyć tych słów. Komunizm zmienia się w realizacji, przekształca się na modłę rosyjską, istotnie nacjonalizuje się. Trudno mówić o komunizmie w oderwaniu. Możemy mówić o komunistycznej Rosji.

A jest to jeszcze jeden, choć paradoksalny, triumf idei narodowej — bo to pokazuje się, że jedyną rzeczywistością żywą jest naród i ustąpić przed nim musi wszelka doktryna. Ta rzeczywistość potrafi się wybić na powierzchnię, choćby tylko ułamkowo, nawet w niewoli tak sprzecznej z ideją narodową doktryny, jak komunizm. W komunizmie rosyjskim zwycięża to, co jest rewolucyjnego w duchu Rosji. Naród pozostaje narodem, mimo wszystko.

*

Sądzę, że to nie przypadek, iż lektura powieści historycznej, przedstawiającej Rosję dawną, nasunęła mi myśli o Rosji dzisiejszej, która przecież zerwała węzły ze swą historyczną tradycją. Powieść Tołstoja napisana jest w ten sposób, że niejako zwraca się twarzą ku współczesności. Może dlatego ta książka więcej o Rosji poucza niż dawniejsza literatura rosyjska. Tołstoj bolszewik widzi bodaj w Piotrze tę samą siłę reformy, która buduje dziś Magnitogorski. Z dzieła Tołstoja wieje wiara w naród i jego zdolność regeneracji, otrzeźwienia po upadku i bierności, wiary w to, że nie zapóźno, bo Rosja potrafi się zdobyć na wysiłek i w jeden dzień odrobić, co zaniedbała. Z tą wiarą stać go na trzeźwe spojrzenie na rzeczywistość, odsłonięcie całej jej nędzy i zła z surową, ale nie beznadziejną szczerością.

Mimowoli narzuca się porównanie z epopeją historyczną Sienkiewicza. Odrazu pierwszy rzut oka na to zestawienie, daje prawdziwą satysfakcję. Sienkiewicz przedstawia czasy o sto lat (w zaokrągleniu) wcześniejsze niż Tołstoj. Jakie silne i pewne poczucie starszeństwa i wyższości budzi porównanie Polski Sienkiewicza z Rosją Tołstoja— Polski w pełni dojrzałości wiekowej już, zachodniej kultury, z Rosją dziką, wschodnią i chciałoby się powiedzieć, — nieletnią. Tę różnicę widzi i Tołstoj, umiejący dotrzeć do objektywnej prawdy, i nie raz ją podkreśla. Dla nas zaś zestawienie to może być powodem do odczucia w jeszcze silniejszym stopniu obcości świata Rosji, obcości, która się znaczy nie prawicą między dwoma narodami, ale głęboką rozpadliną dziejową między światami odrębnych kultur. I tu już widać jak bardzo prawdziwy jest Sienkiewicz, skoro się z jego dzieła Polska wyłania z całą ostrością rysów swego indywidualnego oblicza.

Epopeja Sienkiewicza, podobnie jak „Piotr Pierwszy” Tołstoja, zwrócona jest ku współczesności autora. Ale w tym wypadku zestawienie przeszłości z teraźniejszością rysuje się ostrym kon-

trastem. Przeszłość przegląda się w teraźniejszości jakby nie w krzywem nawet, a w strzaskanem zwierciadle. Ze szram zaś tego zwierciadła ściekają i nurtują pod powierzchnią epickiej pogody gorzkie strugi. Strugi tem pełniejsze goryczy i tembardziej liczne, że były to przecież czasy, gdy z okrucieństwem zwątpienia śledziło się wśród tych szram winy i grzechy, rozgniatając spękaną taflę i przydając nowych szram, swoiście tragicznych. Sienkiewicz i tak już tragiczny w samem zestawieniu jego dzieł z jego współcześnością, zyskuje przez to tembardziej na tragiźmie, boć i z tych nowych szram ciekła gorycz w jego dzieło, choćby i przezwyciężana w postaci reakcji Sienkiewicza — pocieszyciela narodu.

Czyżby sienkiewiczowska wiara w naród wydała się słabszą od wiary Tołstoja? Jest inna i z tej inności możemy być dumni. Bo oto w tem zestawieniu okazuje się, że miara Polski wystarczy na to, by mierzyć różnicę między Wschodem a Zachodem. Wiara w naród Tołstoja jest wiarą w piatiletkę. Rosja śpi, wielka i gnuśna, ale zjawi się tytan, jak Piotr, i w jedną noc niejako, w ostatniej chwili, odrobi to, co przespano. Piotr widzi niższość Rosji wobec Zachodu i żre go upokorzona duma, ale gdy czuje, że próżnoby usiłował wydać się równym w oczach Zachodu, chce go przynajmniej zadziwić pełnym rozmachu przyznaniem się do niższości i zakasaniem rękawów w robocie. I gdy lud jęczy w nędzy i szemrze w niewoli, rozpęta się szaleństwo budowania nowej Rosji i powstaną wielkie dzieła. Czy nie taksamo dzieje się dziś w Rosji? Rosja potrafi zadziwiać świat szaleństwem piatiletki — oto podstawa, na której opiera się wiara Tołstoja w Rosję, oto środek przeciw *inferiority complex* wobec Zachodu.

Tak czyni Wschód. Ale Zachód idzie naprzód krokiem miarowym, bez prysiudów. Sądzę, że przeciętny Anglik nie potrafi zrozumieć istotnego sensu tego dziwnego słowa — piatiletka. Na zachodzie wierzy się w to, że człowiek odpowiada za siebie i od siebie zależy nie zaś od niezwyciężonych mocy szalejących nad światem, jak Piotr nad Rosją. W upadku nie można się wymówić tem, że coś nadludzkiego było przyczyną. Dlatego na zachodzie człowiek wydaje się większy, a upadek, gdy nastąpi, jest może głębszy a napewno trudniejszy do odrobienia.

Sienkiewicz, który przedstawia Polskę w chwili potopu, nie widzi ratunku w piatiletce, ani też w zjawieniu się jakiegoś Piotra, któryby zawisł nad narodem jak pionowa chmura, wzniecająca zbawienne pożary. Potrzeba dlań Częstochowy, przez którą naród wzmógłby się od środka, bo on sam, na własny rachunek i własną odpowiedzialność tworzy dzieje. A i tragizm odbicia Polski z epopei Sienkiewicza w zwierciadle jego współczesności, pełen jest nie wschodniej grozy wobec ślepego losu, ale głębokiego poczucia odpowiedzialności.

Wobec tej Rosji, jaką przedstawia Tołstoj, możemy się czuć wyżsi, nie zamykając oczu na swój upadek, w którym Rosja nad nami triumfowała. Bo i to okrutne rozbieranie naszej przeszłości w poszukiwaniu win, z którem dziś chcemy i powinniśmy skończyć, jakimże jest dowodem rzymskiej surowości ducha. Gdy wielki dom się wali ziemia drży i najpewniejsze ściany rysują się od wstrząsu. Nie w jedną noc da się go odbudować. A świadomość tego, że i w upadku wyżsi byliśmy nad piatiletkę, że nie sprzeniewierzyliśmy się dojrzałej w wiekowej uprawie wielkości, nie staliśmy się bierną miazgą, z której można budować bez jej udziału, ale pozostaliśmy narodem odpowiedzialnym za siebie — pozwala nam śmiało patrzeć w przeszłość i przyszłość. Myśląc zaś o tej przyszłości, w której czekają wielkie sprawy, któż mniej niż my, powinien wierzyć w piatiletki totalizmów i w działających za naród *führerów*?

Tak więc dzieło Tołstoja poucza nietylko o tem, co to jest Rosja, ale i o tem, czem jest Wschód. Właściwie zaś nie Tołstoj, ale Rosja o tem poucza.

Pamiętam od dzieciństwa gruby zielony tom, zawierający dzieła zebrane Puszkina. Książka niezrozumiała, odgrodzona od czytelnika obcym alfabetem, przemawiała tylko przez obrazki. Pamiętam uczucie grozy jakie na mnie wiało z tych ilustracji, na których, przeniesione tam z baśni rosyjskiej, widniały straszliwe głowy bez tułowia, wleczone końmi kobiety, szubienice i kaci trzymający za włosy odcięte głowy, topielcy i mali ludzie zagubieni w tumanach zadymek. Ponury, obcy świat. Ten niezrozumiały świat o ileż bardziej stał mi się czytelnym po poznaniu „Piotra Pierwszego". I jak dobrze te bajki, oglądane w obrazkach, ilustrują ducha narodu. A z bajki rosyjskiej, wyziera jakiś żywioł mocy straszliwych, niedostępnych, a sprawiających okrutną władzę nad człowiękiem, żywioł tajemny, który rzuca na duszę mroczny cień, osiada na niej zmorą grozy. Dwie tylko pozostają możliwości — ogłupiała bierność lub szaleństwo. Antychryst i tak nadejdzie, więc wszystko jedno. Groźny Bóg, patrzący z cerkiewnych sklepień wielkiemi oczyma nie jest ucieczką grzesznych.

Zachód rysuje się jako świat przeciwny — świat jawności, sprawiedliwego Boga i Aniołów stróżów. Bajka opowiada o tem, jak to Pan Jezus chodził po świecie i nawet diabły wyglądają czasem raczej na wesołych urwisów, niż złe potęgi, a Twardowski, jeśli zaprzedał im duszę, sam sobie jest winien. Wprawdzie Antychryst też grozi nadejściem, ale wina jest w ludziach, nie poza nimi i dlatego zawsze mogą ją odkupić. Ta wiara daje siłę i pewność. Dlatego zapewne, że w niej jest prawda. Daje także i spokój, który pozwala na twórczą pracę i na to, by się po tym świecie przechadzał św. Franciszek, przemawiający do ptaków.

HENRYK EYSYMONTT

SAMOTNA PONAD MORZEM WZNOSI SIĘ MOGIŁA...

Samotna ponad morzem wznosi się mogiła
Jak rycerzy z Jomsborga—z drużyny Chrobrego.
Orły ją białe przed napaścią strzegą,
Morza polskiego niezwalczona siła.

Burze przechodzą, które wichry niosą;
Bezradnie ponad wodą mew kołują stada...
Niedostępna jest wichrów nienawistnym głosom.
Odchodzą precz, upadłszy, Ona morzem włada.

Któż ten symbol bolesny podniósł tak wysoko,
Że widoczny jest oczom każdego Polaka
I skąd ta czujność w sercu narodu jednaka
I ku fali Bałtyku wytężone oko?

Z prawieków idzie moc niezwyciężona,
Już drużyny Chrobrego walczyły o morze.
Od dziś wielką pochodnią na wieki rozgorze
Ta mogiła przez naród z morza wydźwigniona.

WIESŁAW STRZAŁKOWSKI

NA WIDOWNI

Angielska sensacja — Odwieczny problemat człowieka — Człowiek przed społeczeństwem, ale w społeczeństwie — Wyrzeczenie drogą do doskonałości.

WSZYSTKIE gazety świata, zwłaszcza te brukowe i dla mas przeznaczone aż zachłystują się z radości taką niebywałą sensacją, jak abdykacja króla angielskiego i to jeszcze dla dwukrotnej rozwódki. Bajka o miłości dla której wszystko się rzuca i wobec której nic nie istnieje, pasjonuje sentymentalne pensjonarki, że aż listy do Edwarda VIII-ego piszą. Zgoła zgiełk koło tej wcale nie wesołej sprawy niesłychany i bardzo płytki. A tymczasem ta „sensacja" nastręcza nie jedno do refleksji i nad różnemi jej stronami warto się poważnie zastanowić. Na jej społeczne oblicze zwrócił już uwagę w swoim ostatnim „Pokłosiu" Argus, ale i ja mam jeszcze coś do napisania, skoro ta strona społeczna zagadnienia nie wyczerpuje i skoro w nim chodzi przedewszystkiem o człowieka i jego wolność.

Wolność, — bo pytanie przed którem stanął król, to właśnie owo najczęstsze: co mi wolno uczynić? Co jeszcze nie wprowadzi mię w konflikt ze społeczeństwem? Kiedy już muszę mu ustąpić? Pytanie, które w małych czy w dużych sprawach bez przerwy się człowiekowi nasuwa, gdy on i społeczeństwo są z sobą stale i na wieki splątani. Nie ma człowieka po za społeczeństwem, nie było go i być nie może. Chodzi jedynie o to, kto w tym związku ma mieć pierwszeństwo — czy człowiek czy społeczność?

Zdziwi się pewno niejeden z czytelników „Myśli", a może nawet i przedwcześnie zresztą, oburzy, gdy na to pytanie z całą stanowczością odpowiem, że tylko człowiek. Ale dla katolika innej odpowiedzi tu nie ma. Tylko człowiek ma duszę nieśmiertelną i tylko jego obowiązkiem jest troska o zbawienie. Zbawienie jest tylko dla człowieka i za ludzi, a nie za jakiś kolektyw ludzki przelał swą krew na krzyżu Zbawiciel. Jakiegoś zbiorowego zbawienia nie ma i nie ma poza ludzką, jakiejś innej zbiorowej duszy dążącej do Boga. Stosunek nasz do Stwórcy jest nawskroś osobisty pomimo, że drogę do zbawienia ułatwia nam z woli Bożej, powołana przez Nią do tego celu społeczność — Kościół Katolicki.

Wielkość więc celu do którego dąży, czyni z człowieka pewnego rodzaju centrum świata. Proszę mię źle nie rozumieć, ale naprawdę każdy z nas jako człowiek, jako dusza nieśmiertelna jest najważniejszą rzeczą na świecie i, że nic absolutnie nic, w tem dostojeństwie go nie przewyższy. Dla nas, — jako pomoc do naszego zbawienia istnieją społeczeństwa i to one nam służą, a nie my im.

Dążenie do zbawienia, to dążenie do doskonałości, do jaknajpełniejszego rozwinięcia w sobie tych wszystkich zasobów jakie dał nam Bóg. W trosce też o naszą osobowość musimy pilnie baczyć byśmy nie upodobnili się do owych głupich panien z Ewangelii, co to zapomniały oliwy do swoich lampek, albo do owego młodzieńca co dane sobie talenty zakopał w ziemi. Żyć dla Boga całą pełnią naszej osobowości i całą pełnią życia— oto nasze prawdziwe zadanie.

Ale dla chrześcijanina pełnia osobowości to bynajmniej nie jakieś wyżywanie się, czy coś co nie dawałoby się osiągnąć w ramach społecznych i w zgodzie ze społeczeństwem; bo właśnie tylko w tych ramach da się ją osiągnąć i wszelkie wyłamywanie się z nich tylko szkodę osobowości może przynieść. Człowiek wymarzoną i nakazaną doskonałość osiągnąć może tylko jako człowiek społeczny, bo takim już został stworzony. Gdy chce być czemś innem, nadczłowiekiem, czy też człowiekiem — abstraktem i gdy uważa, że więzy społeczne go hamują i że je zrywać powinien ludzi się tylko, i owa droga buntu wiedzie go zwykle nie na szczyty, ale w przepaście.

Zeszłowieczny indywidualizm kazał właśnie człowiekowi kroczyć po tej błędnej drodze i najfałszywiej w świecie przeciwstawiał go społeczństwu, jakby się jedno z drugiem pogodzić nie dało. A że natchnień swoich nie szukał w Ewangelii i często zapominał o nieśmiertelnej duszy, więc karykaturalnie wychodziło na tem i człowieczeństwo i jego wolność. Konflikty musiały powstać i powstawały, a reakcją na wybujałość indywidualizmu były różne teorie społeczno-kolektywne czy uniwersalne, co człowieka jako cząstkę społeczeństwa temu ostatniemu w sposób mniej lub więcej zdecydowany podporządkowywały. Trochę prawdy było w każdej z tych teorii, ale całą prawdę zawiera tylko to personalistyczne ujęcie rzeczy, widzące w człowieku Boskie posłannictwo i co za tem idzie godność najwyższą.

Indywidualizm błądził też dlatego, że lubował się w człowieku samym w sobie, nie wchodząc w to, że on przecież zawsze jest gdzieś umiejscowiony i z czemś konkretnie związany. Że prawdę rzekłszy, człowiek jako taki nigdy nie istnieje, a zawsze jakiś Piotr, Jan czy Pafnucy, których drogi do doskonałości są najrozmaitsze i o których ogólnie to tylko można powiedzieć, że każdy z nich dąży do zbawienia i, co za tem idzie, do pełni osobowości, ale już sprawa osiągnięcia tego celu dla każdego z nich przedstawia się inaczej.

Zdanie sobie dobrze sprawy z owego faktu jest szczególnie ważne, bo on właśnie wiąże osobowość człowieka ze społeczeństwem. A więc myśląc o sobie i chcąc nie zakopać żadnego z mych talentów, uświadamiam sobie każdy z owych „talentów", a więc to wszystko co mi Bóg na drogę życia dał, czyli poprostu jakim mnie stworzył. Bo nie zostałem abstrakcyjnie jako dusza stworzony, ale już od niemowlęctwa otrzymałem nietylko pewne cechy fizyczne i umysłowe, ale także i społeczne jak ród, nazwisko, przynależność do pewnej warstwy narodu etc. To wszystko właśnie się składa na kapitał mojej osobowości i byłoby absurdem sądzenie, że ją udoskonalę czy pogłębię przez zerwanie z tem na czem stoję, co mi dał Bóg. Przeciwnie budowanie na tem co się dostało, to jedyna do doskonalenia się droga.

Przyjęcie tego jedynego założenia określi nam odrazu i sprawę owej wolności człowieka, co tak pasjonuje i pasjonowała umysły. Wybujały indywidualizm tak tryumfalnie głosił wszechmoc woli człowieka, że dziś wolność znalazła się jakby na indeksie. A tymczasem nie zasługuje wcale na to, byleby tylko zdawać sobie sprawę z tego jak dalece jest ona ograniczona i jak właściwie mało możemy, bo „kto z was obmyślając może przydać do wzrostu swego łokieć jeden?" (Mat. VI, 27).

Nic bardziej nie stoi na przeszkodzie w dążeniu do doskonalenia się i wogóle w dążeniu dą-

żeniu do jakiegokolwiek celu jak błędna ocena sytuacji. Pierwszym więc warunkiem dla człowieka, który chce rozwinąć swą osobowość jest zrozumienie własnej niemocy, rozejrzenie się w ograniczonych możliwościach działania. Wola bowiem Boska wytycza nam pewne granice, przed któremi musi się ugiąć hardość ludzka. Choćby ktoś nie wiem jak pragnął — nie zmieni nic z tych zasobów jakie dostał od Boga, a i we wszystkich innych rzeczach wciąż jego plany i zamierzenia krzyżować mu będzie dłoń opatrzności. „Siła wyższa“ o której się mówi i w prawie, drwi sobie z naszych usiłowań i choć bezsprzecznie każdy jest kowalem swego losu, to jednak życie ludzkie toczy się takim biegiem jaki mu wyznaczył Bóg, a nie takim jaki mu ukartował sam człowiek.

Nad jedną jedyną rzeczą człowiek ma pełne władztwo — a mianowicie nad własną duszą i jeśli się mówi, że „każdy jest kowalem swego losu“ to właściwie znaczy to tylko, że nadprzyrodzona siła duszy może każde życie, choćby najcięższe uczynić znośnem czy nawet miłem. Że w nas samych tkwią potężne zasoby ducha z których pomocą możemy przebić się przez życie i osiągnąć cel jego — to jest pogłębienie osobowości. Tu też największa sfera działania człowieczego i najlepsza broń na przeciwności. Moc ducha by się nie załamać i stałość, która po załamaniu każe się dźwignąć i w upadku widzieć tylko drogę do poprawy, klęskę przelotną — daje nam prawdziwe władztwo nad życiem, które jest ciągłem pasmem takich zmagań, bo *„ohne Krieg kein Sieg“*.

Ta piękna dewiza jednego z polsko-niemieckich rodów, a z którą się rodzinnie osłuchałem kryje w sobie cały sens życia, bo wiadomo jest, że „bojowaniem jest żywot człowieczy“. A bojowanie wymaga oprócz męstwa, odwagi i tych wszystkich zalet, które się z niem automatycznie niejako kojarzą, także i ogromnej sztuki wyrzekania się. Wojna każda, to ów ciężki stan, kiedy się trzeba poświęcać, kiedy wciąż trzeba sobie dobrowolnie nakładać różne hamulce. To też rezygnacja i wyrzeczenie są sensem życia, w którem wciąż bez czegoś trzeba się obywać, w którem wciąż trzeba grzebać różne marzenia i wciąż wspinać się do czegoś co od nas silniejsze. Nie uniknie tego żaden z śmiertelnych i nawet „olimpijczyk“ Goethe skarży się na tę „ochrypłą pieśń każdej godziny“.

Was kann die Welt mir wohl gewähren?
Entbehren sollst du! sollst entbehren!
Das ist der ewige Gesang,
Der jedem an die Ohren klingt,
Den, unser ganzes Leben lang,
Uns herser jede Stunde singt.

I może to niesłychanie smutne, bo tak dalekie od prometejskich złudzeń, ale człowiek doskonałość swą osiągnąć może tylko drogą wyrzeczeń. Albo — albo — stawia mu każda minuta życia i w każdym takim wyborze coś trzeba poświęcić, czegoś się wyrzec. I jedyne szczęście nasze na ziemi to to, które tą właśnie drogą da się osiągnąć, a jedyne pewne — to równowaga własnej duszy świadomej tego, że się swoim przewodnim zasadom nigdy nie sprzeniewierzyła.

Oto lekcje owej królewskiej decyzji i jej dramatycznego zmagania. Wszystkiego nigdy człowiek mieć nie może, kwestja tylko co wybrać powinien. I zapewne, że król powinien wybrać swą koronę, ale dla sprawiedliwej oceny pamiętać trzeba, że cała poprzednia epoka bałamuciła człowieka, że wszystko może, i że wobec jego szczęścia i woli niczem są wszelkie obowiązki, że on jest absolutnym panem siebie... Jakież to potężne kuszenie i jak mocnej woli trzeba, by je odrzucić. To też w całej owej smutnej historii raczej chyba Anglję podziwiać trzeba, że jest jeszcze tak zdrowa i, że owe lata Cytery tak mało ją wykoleić zdołały.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

NUMER OBECNY „MYŚLI NARODOWEJ” jest przedostatnim w tym roku. Kończymy w nim znakomite studium nestora naszych pisarzy politycznych, prof. Stanisława Głąbińskiego o genezie i stanie sprawy ruskiej na Ziemi Czerwieńskiej. Zrobiła ona wielkie wrażenie rewelacyjnością danych, mało znanych ogółowi. Rozdział w dzisiejszym numerze da wiele do myślenia zwolennikom radykalnej i tak nieliczącej się z interesem narodu reformy rolnej.

Praca prof. Głąbińskiego ukaże się niebawem w osobnej broszurze.

JAKIE BYŁY PRZYCZYNY? Redakcja naszego pisma zadała sobie trud rozpisania listów do byłych prenumeratorów, którzy w ciągu kilku lat ostatnich przerwali z pismem stosunki. Była to ankieta ze wszech miar pouczająca, chodziło nam bowiem o zbadanie przyczyn tego zerwania: czy one były zewnętrzne, czy też tkwiły w wewnętrznym stosunku, jako różnica przekonań, gustów itp.

Otrzymaliśmy w odpowiedzi szereg listów, obszernie wyłuszczających powody. Nie było w nich ani jednego tej drugiej kategorji (wewnętrznej); owszem wyrażano żywy żal, że los zniewolił do zaprzestania prenumeraty. Przeważnie—jak się okazało — są to ofiary represyj politycznych za przekonania narodowe z czasu, kiedy wyraz „narodowy” nie był tolerowany, z tych czasów, kiedy represjami utrwalić chciano wiarę, że duch narodowy jest czemś sprzecznem z interesami państwa i że państwo jest bytem pozanarodowym.

Pogląd ten, doprowadzony do naczelnej zasady programowej za czasów p. Jędrzejewicza, utracił już wiele swej mocy egzekutywnej. Jeszcze p. Raczkiewicz nie był pewien, czy narodowiec nie jest dla państwa więcej niebezpieczny, niż bolszewik, wszakże życie czegoś już powoli uczyć zaczyna. W rezultacie jednak prąd ten, jak wicher, wiele egzystencyj połamał. W miarę szybkiego wzrastania kadrów młodych emerytów, trzeba było starym emerytury obcinać. „Stan spoczynku” stawał się spoczynkiem ludzi ledwo-ledwo żyjących, nie mogących już czytać książek i czasopism.

Oto urywek z listu, jaki pod rękę się nawija:

„Tygodnik musiałem zaprzestać prenumerować na skutek ekspriopriacji lat służby policzalnej do wypłaty emerytury. Wyniosło to dla mnie $^{1}/_{3}$ część emerytury w sumie — 110 zł., pozostało mi do dyspozycji na utrzymanie siebie i rodziny zł. 210. Ano zaczęliśmy szukać oszczędności”.

„Zmniejszyliśmy mieszkanie, opalamy i oświetlamy jeden pokój, zamiast obiadu z dwuch dań, zadawalamy się jedną potrawą, zwolniła żona dziewczynę i sama pracuje, zamiast kupna obuwia reparujemy stare, toż samo z odzieżą

i toż samo w stosunku do wszystkich potrzeb ciała i ducha. Zamiast dwu dzienników—mamy jeden. Nie dziw, że w tych warunkach zrezygnowaliśmy z miesięczników i tygodnika".

Nie było ani jednej odpowiedzi, któraby potrąciła o przyczynę rozdźwięku z redakcją; owszem same słowa uznania i przywiązania ideowego. Wszyscy niemal przyrzekli — w miarę poprawy stosunków materialnych, bądź ustępstw w cenie prenumeraty — powrócić. I powracają, zachęceni przykładem młodego pokolenia i ulgami, które w miarę możności, czynimy.

Obyż rok następny dla życia kulturalnego był względniejszy.

NAUKA i LITERATURA

POWIEŚCIOWY ŻYCIORYS LOTNIKA

WARTOBY zastanowić się, jaki kulturalny sens kryje w sobie i jaki literacki walor przynosi — coraz częściej pojawiająca się za szybami księgarń i wielce poczytna w naszej epoce — powieść biograficzna? Czy ta powieść i jej popularność dowodzi jakiegoś w psychice mas czytających—głodu wielkiej indywidualności, tęsknot za—i do—nieprzeciętności, hierarchii społecznej, elitaryzmu? Czy jest to zjawisko znamieniem czasów nowych, gdy na arenę życia gospodarczego i kulturalnego wchodzi tłum, społeczeństwo, naród, gdy jesteśmy już w pełni okresu ruchów masowych i masy te pragną potężnych indywidualności, przodowników i wodzów? Czy życiorys literacki nie jest to poprostu forma agitacji politycznej, albo uprzystępnienie historii dla prostaków i dzieci, albo wręcz dobry interes, który robią pewni publicyści i literaci, nie czujący się na siłach, aby napisać porządną powieść zmyśloną, czyste dzieło sztuki?

Te są zasadnicze kwestie, które wiążą się ze zjawiskiem, powieści biograficznych. Cokolwiek dałoby się tu powiedzieć, jedno jest pewne, że ta powieść jest formacją przejściową między protokułem policyjnym czy sądowym, reportażem dziennikarskim, kroniką historyczną — a pełną sztuką klasycznej powieści. Uwagi te piszemy z okazji książki Halszki Szołdrskiej, p. t. „W ogniu i w locie“ [1]). Otóż gdy rzecz taka jest pisana o człowieku żyjącym i, oczywiście, w porozumieniu z nim, jak to właśnie było z majorem S., słynnym lotnikiem polskim, bohaterem „W ogniu i w locie“ — wtenczas powieść ma charakter właśnie jakiegoś reportażu biograficznego, zmontowanego z innych książek, dokumentów osobistych, jak pamiętniki, listy, wspomnienia, opowiadania, rozmowy i t. p. Utwór taki pisze się nie w natchnieniu, nie według swobodnej koncepcji i wizji historyczno-literackiej, ale raczej ze skrzętnością i dociekliwością historyka-szperacza, no i—z zakłopotaniem, aby nie wykroczyć poza granice źródeł i dokumentów. Można więc odnieść wrażenie, że H. Szołdrska pisała raczej z myślą patriotyczno-dydaktyczną (powieść dla młodzieży) niż z ambicją literacką.

Cel ten, jeżeli istotnie był ten—został naogół osiągnięty. Mamy wyraziście i żywo przedstawione życie postaci naczelnej, widzimy człowieka niezwykłego, o żelaznej, żołnierskiej woli. Niepotrzebnie tylko opowieść zaczyna się od dzieciństwa. Rzecz nicby na tem nie straciła, gdyby ją skrócić o sześć lub siedem pierwszych rozdziałów, a dzieciństwo i czasy szkolne Stasia opowiedzieć w krótkiem streszczeniu.

Dobrym fragmentem jest opis pobytu w obozie koncentracyjnym w Szczypiornie. Natomiast zbyt mało dramatycznej dynamiki jest w opisach batalistycznych. Postać Julka jest naiwnie anemiczna, nie przekonywująca. Styl dialogów i całości poprawny, ale nieraz też choruje na anemię, niedomogę artystyczną, mało w nim siły i nastroju. Niema indywidualizacji w języku osób. Młodzież, zwłaszcza męska, która ma czytać tę książkę, wolałaby mieć więcej wiadomości technicznych, podanych językiem fachowym, np. jeśli chodzi o mechanizm roweru i sport kolarski, o budowę modeli szybowcowych, o wojnę i lotnictwo.

Dzieje kapitana S. (obecnie majora), są tak awanturnicze, niezwykłe i bodaj—w znacznym stopniu—bohaterskie, że aż w niektórych momentach nieprawdopodobne. Książka „W ogniu i w locie“ przyczyni się niewątpliwie do rozwoju cnót żołnierskich w duszach polskiej młodzieży.

T. D.

[1]) H. Szołdrska: „W ogniu i w locie“. Księg. św. Wojciecha. Poznań — Warszawa — Wilno — Lublin. r. 1936. Str. 323.

KSIĄŻKA O RODZIEWICZÓWNIE

NAD sądami o literaturze polskiej z końca w. XIX i początków wieku bieżącego ciąży po dziś dzień dusząca zmora feldmanii, czyli miara ocen wprowadzonych przez Wilhelma Feldmana. Nieróbstwo całej generacji krytyków oraz wielka łatwowierność publiczności czytającej sprawiły, że przez lat trzydzieści zgórą nie zdobyto się na rewizję owych ocen, że powtarza się je tylko bezkrytycznie, jakby jakieś nienaruszalne dogmaty czy kanony.

Ale czas na tę rewizję już nadchodzi. A można się cieszyć z tego, że do pierwszego zaciągu rewizjonistów zgłosił się i ten, który dotąd najczęściej powtarzał utarte sądy feldmanowskie — Kazimierz Czachowski, pilny kompilator dziejów polskiej literatury nowoczesnej. Zdradził on swego mistrza narazie na jednym tylko odcinku, ale za to na odcinku najbardziej może drażliwym. Oto bowiem napisał książkę całą o pisarce, przez Feldmana zdegradowanej i „zakazanej”—o Marii Rodziewiczównie.

Książka ta p. n. „Maria Rodziewiczówna na tle swoich powieści” (wyd. R. Wegnera, Poznań) nie przynosi żadnych rewelacyj ani sądów szczególnie bystrych. Jak zwykle, Czachowski i tutaj okazał się nie tyle twórczym krytykiem, ile erudytą-kompilatorem. Znaczną część książki zajmują cytaty z Tarnowskiego, Szyjkowskiego, Dębickiego, Lutosławskiego, M. Manna, Boya, Grzymały Siedleckiego, Sienkiewicza (przypomniano jego list jubileuszowy z r. 1911), Chmielowskiego, Chlebowskiego, Gallego no i Feldmana. W każdym razie w żadnej ze swych książek poprzednich autor nie okazał tyle samodzielności, co w tej właśnie. Ta znaczna stosunkowo samodzielność ma w sobie nawet coś z inicjatorstwa. Oto bowiem już przed L. Piwińskim, bo w r. 1929, Czachowski nietylko zaznaczył, że „krytyczna ocena twórczości Rodziewiczówny musi ulec może nawet dość znacznej rewizji”—ale ponadto uzasadnił tę potrzebę zarówno aktualnością haseł i poglądów Rodziewiczówny, jak i artystyczną wartością jej utworów. Nasuwa się tylko mała adnotacja: gdy na obie te okoliczności już dawniej zwracali uwagę krytycy w „Kurierze Poznańskim“ i „Gazecie Warszawskiej“, nie uważam za stosowne sądów ich cytować...

Tak czy owak, przewracać się musi w grobie Feldman, gdy słyszy, że poza „Dewajtisem“ są przecie inne powieści Rodziewiczówny warte czytania, i to właśnie te, o których on bez czytania wydał ryczałtowy sąd ujemny. A są to książki, pisane—jak mówi Czachowski — „z niemałym artyzmem”, „w swoim rodzaju mistrzowskie klejnociki“ i t. p.

Nie należy mniemać, jakoby autor bawił się w panegirystę. Owszem sądów krytycznych nie brak i bywają nieraz ostre. Prawie zawsze można się z nimi zgodzić. Nie widzimy w nich stronniczości ani uprzedzenia, owszem, stwierdzamy na każdym kroku uczciwe dążenie do zgłębienia ideowej i artystycznej strony utworów. Czachowski przeczytał istotnie wszystkie dzieła Rodziewiczówny i na marginesie ich musiał poczynić sporo ołówkowych notat; że cza-

sem poniosła go erudycja i wprowadzał niepotrzebne i niezawsze przekonywające analogie z dziełami literatury polskiej czy zagranicznej, można darować. Pomimo tego niezbyt zresztą uciążliwego balastu — cała książka jest dobrą i pożyteczną monografią popularną, bardziej pożyteczną i pouczającą niż drobna książeczka A. Zachorskiej.

Wydawnictwo Wegnera znalazło w książce Czachowskiego dobre posłowie do ukończonego właśnie niedawno zbiorowego wydania dzieł Rodziewiczówny—w samo pięćdziesięciolecie twórczości zasłużonej pisarki.

J. B-r.

SZKICE AFRYKAŃSKIE

JERZY Giżycki dał się niespodziewanie poznać przed paru laty odrazu bardzo ciekawą książką „Biali i czarni", w której życie francuskich kolonij afrykańskich przedstawił z dużą siłą wyrazu, wywołał dyskusję w prasie, poruszając wiele żywotnych problemów i spotkał się z bardzo przychylną opinią większości krytyki. Po „Chlebie i chimerze", który przeszedł bez większego echa, powrócił znowu do pierwotnego tematu: „Między morzem a pustynią" [1]) robi wrażenie czegoś powstałego z okruchów pierwszej książki nie mniej cennych, bo najwidoczniej materiał jest ten sam, ale nie dających właściwie nic nowego. Już „Biali i czarni" nie stanowili jednego ciągłego opowiadania—tu więc szkicowość formy jest raczej udoskonalona, niż inaugurowana, przyglądając się zaś treści znajdujemy te same motywy i te same zasadnicze myśli przewodnie.

Założenia autora są właściwie szlachetne: z oburzeniem piętnuje wyzysk i nadużycia grasujące bezkarnie w koloniach francuskich, w co jesteśmy łatwo skłonni uwierzyć, czytając szkic poświęcony Boussac'owi, bratu naszego żyrardowskiego bohatera. Z drugiej strony jednak musimy pamiętać o ostrych sprzeciwach z jakimi wystąpiły sfery duchowne przed paru laty z okazji mocno nieprzyjemnej krytyki ich działalności w „Białych i czarnych". (Trzeba zaznaczyć, że tej struny tym razem autor zupełnie nie porusza) I będąc dalekim od pochwalania słodko-ckliwych reportaży jakie widuiemy często w codziennych pismach, chciałbym wyrazić zdanie, że o kronikarzu, sprawozdawcy, turyście świadczy w dużym stopniu fakt, jakie rzeczy specjalnie zwracają jego uwagę, która strona medalu wzbudza jego zainteresowanie. U Giżyckiego jest to niestety prawie wyłącznie owa t. zw. „odwrotna", i to zbliża go do o wiele mniej poważnego odeń Uniłowskiego.

On sam oczywiście stoi po stronie pozytywnej, ale mówiąc o problemach zasadniczych i istotnych przybiera dość niepoważne pozy, popisując się cynizmem i nanszalancją, również *à la* Uniłowski, choć również znacznie bardziej stosowaną.

Ten sam brutalny stosunek do kobiet i aluzje do przeżyć już nie erotycznych ale seksualnych, ta sama poza laicka, choć znacznie więcej rzeczowości. U Giżyckiego bowiem nie ma tęsknoty do raju Małej czy Wielkiej Ziemiańskiej, ale prawdziwe zainteresowanie dla opisywanych krain i zdarzeń. Widać, że wypełniają one jego życie i że do tego życia on sam pozytywnie się ustosunkowuje. Styl przytem ma prostszy, mniej pretensjonalny od „Cudownego Zbysia" z Brazylii, zato plastyczniejszy i wywołujący wrażenie niewątpliwej autentyczności, a zatem ma wartość wzbogacania naszego doświadczenia.

Na podkreślenie zasługuje fakt niezwykle, jak na obecne stosunki, starannego wydania książki na dobrym papierze, wyraźnym drukiem, z doskonałemi fotografiami, które stanowią prawdziwą ozdobę książki przy zupełnie przystępnej wobec poziomu graficznego, cenie. Umieszczenie objaśnień za tekstem nie jest szczęśliwym pomysłem, tembardziej, że czasem zaintrygowani odnośnikiem przy dobrze znanym wyrazie, jak np. „monopolka" odrywamy się od lektury, aby znaleźć zupełnie oczywisty komentarz.

ANDRZEJ MIKUŁOWSKI

[1]) Jerzy Giżycki: „Między morzem a pustynią". Warszawa 1936. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska". Str. 119.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Józef Mackiewicz: „16-go między trzecią a siódmą". Wilno 1936. Nakład „Słowa".

Książka zawiera sześć opowiadań o przygodach autora. Opowiedziane są te przygody z rozmachem temperamentu pisarskiego, a znacznie mniejszą dbałością o styl i formę literacką.

Interesujące, ciekawe, tchną odczuciem rzeczywistości, w której dramatyczna osnowa splata się gładko ze szczegółami komicznymi. Z atmosfery oczekiwania na opóźniający się przekaz pieniężny podczas pobytu na letnisku wydobywa autor całe gamy, to melancholijnych, to znów groteskowych nastrojów, i ukazuje zmienność usposobienia otaczających go osób, gdy wreszcie oczekiwana przesyłka nadeszła. W innem opowiadaniu, w historii pojedynku zakończonego bezkrwawo i zgodnie na placu spotkania, a w chwilę później tragicznie spowodu katastrofy samochodu, ukazuje przeważającą rolę ślepego losu. Jest i echo chaosu wojny światowej, włóczęgi, głodu, niewoli, nędzy i bohaterstwa, wyrażone z wszystkich opowiadań może najsilniej, bo na tle walki Polaków w dwóch obcych, walczących z sobą, armiach państw zaborczych. I opowiadanie o miłosnym epizodzie nerwowca, godne szerszego pogłębienia.

Książka świetnego publicysty, w wolnej chwili od pracy redakcyjnej strząśnięta z pióra, wydana została w okładce wulgarnej i odrażająco brzydkiej, jak gdyby w Wilnie nie było malarzy artystów. (A. W.)

NOWE KSIĄŻKI

Bernadzikiewicz Tadeusz dr. Dekret o lasach państwowych z dn. 30 wrz. 1936 r. Warsz. 1937. Str. 52.

Giertych Andrzej. My, nowe pokolenie. Wyd. II. Poznań 1937. Księg. św. Wojciecha. Str. 165.

Wańkowicz Melchior. Na tropach Smętka. Warszawa 1936. Bibl. Polska. Z ilustracjami. Str. 371, 2 mapy.

Proust Marcel. W stronę Swanna. 3 tomy. Powieść. Przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Żeleński. War. 1937. „Rój".

Grabski Wład. J. Na krawędzi. Powieść. Poznań. Św. Wojciech.

Strachey Lytton. Królowa Wiktoria. Warsz. 1937. „Rój".

Segeń Alina. Anna. Powieść. Warsz. Gebethner i Wolff.

Przegląd Współczesny, listopad.

Miłaszewski Stan. Bunt Absalona. Dramat w 10 odsłonach. (Poznań 1936). Ks. św. Wojciecha.

Konopczyński Wład. Dzieje Polski nowożytnej Tom I (1506 — 1648) str. XII i 437; tom II (1643 — 1795) str. VIII i 460. Skł. gł. w ks. Gebethnera i Wolffa.

Niepodległość, t. XIV z. 3.

Ruch Literacki, Nr. z r. 1936.

Przegląd Współczesny, grudzień.

Alberti Kazimiera. Usta Italii (poezje). Warsz. 1936. Dom Ks. Polskiej.

Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu wydała świeżo:

Teodorowicz Józef ks. arcyb. Od Jahwy do Mesjasza. Str. XII i 355.

Szołdrska Halszka. W ogniu i w locie. Powieść biograficzna.

Wojciechowski Stan. (b. prezydent). Spółdzielnie rolnicze. Str. 223.

Coiazzi A. Pier Giorgio Frassati. Powieść. Z ilustracjami.

Maritain Jaques. Sztuka i mądrość. Str. 213.

Gillet M. S. Kształtowanie charakteru. Str. 160.

Liguda Alojzy ks. Naprzód i wyżej! Egzorty nowoczesne. Str. 284.

Sariusz-Załeska Krystyna. Karol de Foucauld. Apostoł Sahary. Str. 127.

DYSKUSJE

SPRAWA GIDE'A

A WIĘC... „Gide ma dość komunizmu". Wieść o tem przeczytałem po raz pierwszy w „Kurierze Polskim". Charakterystyczne. Tytuł: „Tam gdzie rządzi ikona Stalina" — podtytuł: „Po powrocie z Z. S. S. R. Andrzeja Gide'a jest druzgocącym aktem oskarżenia". Poczem kilka zdań ze słynnej już gide'owskiej przedmowy i następujący komentarz:

„Książka ta jeszcze nie dotarła do Warszawy. Za to dotarły do nas pierwsze odgłosy, jakie książka wywołuje w prasie francuskiej. Z cytat i wycinków, przeplatających te wstępne recenzje, wynika, że relacja Gide'a jest druzgocącym aktem oskarżenia, biczującym nietylko imperium Stalina, ale i poniżenie godności ludzkiej, jakie pociąga za sobą realizacja kolektywizmu".

Kto jak kto, ale właśnie wielkokapitalistyczny „Kurier Polski" nie może wytykać poniżenia godności ludzkiej w ustroju kolektywistycznym. Czy w ustroju, którego interesów broni, godność robotnika jest szanowana? Przenieśmy się na chwilę do ogromnej szarej, brudnej Łodzi. Przypomnijmy sobie nacisk administracyjny zarządów fabryk usiłujący za cenę dziennego zarobku narzucić rzeszom pracującym swoje przekonania, a raczej wygodne sobie przekonania, a raczej wygodne sobie przekonania, w tym wypadku — tak! tak! — wyraźnie, jaskrawo czerwone... Przejdźmy wieczorem ulicą Piotrkowską i zobaczmy potworny obraz proponowania za niewielką opłatę swoich nieletnich córek, a to z powodu najskrajniejszej nędzy i zapytajmy teraz, czy każdy ma moralne prawo oburzać się pospołu z autorem *„Retour d'U. R. S. S"?* (Pytanie—łatwo się chyba domyślić—retoryczne...)

Co innego, gdy nad gorzkiemi słowami Gide'a zastanawiają się ci, którzy pragną zmiany, odrzucając zarówno ustrój kolektywistyczny, jak i kapitalistyczny. „Gide ma dość komunizmu". Czy to jednak prawda?

„André Gide est un bourgeois revolutionaire" — pisze w „Candidzie" René Bizet. I może właśnie dlatego w swojej już słynnej przedmowie do powszechnie oczekiwanej książki wytyka mieszkańcom dzisiejszej Rosji: *„...des instincts bourgeois, veules, jouisseurs, insoucieux d'autrui!"* Takie zrozumiałe!

A przedewszystkiem zawód, głęboki zawód pisarza, który nie zobaczył ucieleśnionej utopii o anarchicznym ustroju, anarchicznym sposobie życia, myśli,.. „W Z. S. S. R. jest założone z góry i raz na zawsze, że o wszystkiem i o czemkolwiek może być jedno tylko zdanie". Saint-Simonowski marzyciel, wyobrażający sobie, że rewolucja bolszewicka z r. 1917 była dalszym etapem Wielkiej Rewolucji Francuskiej, tak w stu procentach, irytuje się, że w Moskwie nie zobaczył Paryża! To trudno. Nie zobaczy i niech sobie owo ujrzenie raz na zawsze z głowy wybije.

Płaczą gide'owskiego rodzaju łzami i ci, którzyby napewno szczerze się oburzyli, gdyby im wytknąć, że tak jest, że to właśnie gide'owski rodzaj łez. Może kto pamięta treść artykułu omawiającego rzekome nawrócenie się pisarza francuskiego, artykułu umieszczonego w piśmie niewątpliwie narodowym a opatrzonego tytułem: „Sowieckie krematorium wolności".—Znowu ta wolność! Czy o nią chodzi przedewszystkiem? Czy ona należy do dóbr najwyższych? Miejmy choć trochę względów i dla zjawiska rygoryzmu, który poczęty w poczuciu dyscypliny zespołu realizującego pewien, wrogi nam nawet cel, zapłodnił myśl ustrojową zdegenerowaną zarazkiem dziewiętnastowiecznego liberalizmu.

W swych świetnych „Zdobywcach" Malreaux opisuje scenę konferencji delegatów rewolucyjnych z saigońskimi Chińczykami:

„Gérard oznajmia na wstępie, że rozumiem po kantońsku; patrzą na mnie z wyraźniejszą sympatią, zaczyna się rozmowa: demokratyczne ględzenie, „prawa ludu" i t. d... Mam wybitne wrażenie, że jedyną ich siłą realną jest mgliste uczucie, i że doznane krzywdy są jedyną rzeczą, z jakiej naprawdę zdają sobie sprawę. Przychodzą mi na myśl prowincjonalne stowarzyszenia z czasów Konwentu (tylko, że ci Chińczycy są niezmiernie kurtuazyjni, a to wytwarza ciekawy kontrast z ich wojowniczym strojem). Jaką wagę przywiązują do słów!"

„Demokratyczne ględzenie, „prawa ludu" i t. d..." Gide sobie z tego nie zdawał sprawy? Wcale? Nie wiedział o tem? Nie znał słynnego powiedzenia Lenina o demokracji? Skąd więc zawód? Żal, że Stalin nie realizuje francuskiej interpretacji marksizmu?

Patrzmy na dzieła ludzkie jak ludzie. Doskonała (przypuśćmy... powiedzmy...) teoria materializmu dziejowego wprowadzona w życie, wiele straciła dla tych, co to nigdy nie próbowali realizować, a tylko myśleć i marzyć, nabrała jednak żywej krwi i rumieńców. Że krew ta jest rosyjska a przeto i barwa skóry stała się rosyjska, cieszyć mnie tylko może jako nacjonalistę. Okazuje się bowiem, że żadne teorie dybiące na społeczność narodową nie są w stanie jej zgnębić. To raz, a po drugie—komunizm stalinowski coraz bardziej służący Moskwie, wyraźnie: Moskwie i jej narodowego gatunku imperializmowi wyjaśni w końcu, bo wyjaśnić, u diabła! musi rozmaitym tępym płatnym i, co ważniejsza, niepłatnym agentom Kominternu, komu i jakiej, w gruncie rzeczy, sprawie służą. Jeszcze parę kroków dalej w ewolucji stalinowskiej, a sens akcji międzynarodowej komunizmu zacznie zanikać aż się w końcu i na szczęście ulotni zupełnie.

Nie ma więc się znowuż tak i z czego cieszyć, że Gide..., normalne to przecież u takiego gatunku, a po drugie—co jest najważniejsze—Gide wcale nie odszedł od komunizmu, przeciwnie, zaciął się w nim, a jeśli splunął w stronę Kremla, to dla tego, że go tam tak mało zobaczył.

W innym numerze raz już przezemnie wymienionego *„Candide'a"* w wzmiance zatytułowanej (proszę zauważyć!): *„Gide le trotzkyste"* czytamy:

„André Gide est trotzkyste..."
Trotzkyste, parce que fidèle aux doctrines des heures premières de la révolution, il écrit: „Qui dira ce que l'U. R. S. S. était pour nous? Plus qu'une patrie d'élection..."
Tous ces imparfaits sont trotzkystes.
Trotzkyste encore et davantage puisqu'il ose écrire: „Ceux qui ont suivi l'évolution de l'U.R.S.S. depuis à peine un peu plus d'un an diront si c'est moi qui ai changé ou si ce n'est pas l'U.R.S.S. Et par l'U.R.S.S. j'entends celui qui la dirige."
Trotzkyste toujours quand il demande: „Si certaines promesses tacites n'étaient, pas tenues, que fallait-il incriminer? En fallait-il rendre responsables les premières directives, ou plutôt les écarts mêmes, les infractions, les accommodements si motivés qu'ils fussent.."
Trotzkyste dangereux, puisqu'il conclut: „Ma conviction reste intacte que l'U.R.S.S. triomphera bientôt des graves erreurs que je signale..."

A więc niema się tak znowu z czego cieszyć. Bardziej groźny jest dla nas komunizm utopijny o charakterze filozofii doprowadzonej do granic religijnego kultu, nieustannie, wiecznie rewolucyjny komunizm Trockiego, aniżeli codzień niemal zawierający kompromis ze zjawiskiem narodu moskiewski stalinizm. Nie łudźmy się i nie wmawiajmy znowu w siebie, że w Rosji jest tak znowu narodowo, nie, jeszcze nie, ale...

I nie łudźmy się, że ta nowa Rosja w swoim typie narodowym będzie miła i przyjemna naszemu typowi cywilizacyjnemu, ale... i, powtarzam raz jeszcze, nie cieszmy się zbytnio z „nawrócenia" Gide'a. Nie mydlmy sobie oczu, a przedewszystkiem nie pozwólmy, ażeby je nam próbował mydlić, kto jak kto, ale „Kurier Polski"...

Tego tylko brakowało!

JAN BAJKOWSKI

POKŁOSIE

HUMOR I POLITYKA

NORMALNIE biura prasowe rozmaitych państw nie mają za zadanie wydawania pism humorystycznych, jednakże wydawnictwo jakie się ostatnio ukazało staraniem prasowego biura we Włoszech, a zajmujące się przepowiedniami, drukowanymi w prasie wielu krajów podczas trwania wojny abisyńskiej co do tego jaki ta wojna przybierze obrót i jakie będą losy polityki, podjętej przez Włochy — zastąpić może odpowiednio usposobionemu czytelnikowi wcale niezłą książkę humorystyczną.

W prasie lewicowej wszystkich krajów znana jest i szeroko powtarzana dziennikarka francuska p. Tabouis, która dzięki swemu powinowactwu z rodzina znanych dyplomatów francuskich Cambonów, stała się powagą i niemal wyrocznią o ile chodzi o informacje z dziedziny polityki zagranicznej różnych państw, a szczególnie zza kulis Ligi Narodów. Jak więc informowała swych czytelników ta znakomicie poinformowana osoba przed wybuchem wojny i w czasie jej trwania? Oto kilka przykładów:

W pierwszych dniach sierpnia 1935 roku p. Tabouis oznajmia: „Negus uważa, że posiada środki do zwyciężenia Włochów i wielu, żeby niepowiedzieć wszyscy, w Lidze Narodów są o tem przekonani... Ogólne wrażenie jest takie. że mimo podżegających deklaracji Mussoliniego Włochy nie rozpoczną wojny. W Genewie nie można spotkać Włocha, delegata, lub innego, któryby był przeświadczony, iż duce zacznie wojnę". Już w dwa tygodnie później dn. 18 sierpnia p. T. pisze: „Trzeba przyznać, że większość kompetentnych Włochów uważa, że kroki nieprzyjacielskie rozpoczną się 15 września". A dn. 7 września: „W razie wojny co stanie się z Etiopią? Najprawdopodobniej przedewszystkiem jeżeli Włochy zaczną działać, łamiąc pakt, co jak się zdaje nastąpi, wówczas dojdzie do skutku angielska okupacja skrajnego zachodu Etiopii, poczynając od jeziora Rudolfa i na południe, a dalej na północ aż do jeziora Tsana, obejmując jedyną bogatą część Abisynii, graniczącą z kolonią Kenia i zawierającą sławetne pokłady złota, miedzi, nafty..." Dn. 25 września: „Dominujące dziś przekonanie jest o niemożliwości przeprowadzenia z powodzeniem przez Mussoliniego jego wyprawy i powszechnie zadają sobie pytanie bez najmniejszej namiętności, czysto krytycznie, w jaki sposób zdoła on wydobyć swój kraj z położenia bez wyjścia". Dn. 2 października: „Abisyńczycy pozwalają Włochom wkroczyć na niziny i będą ich oczekiwać w górach. Skoro nadejdzie pora deszczowa położenie wojsk włoskich stanie się szczególnie krytyczne i wtedy Abisyńczycy mogą wystąpić skutecznie. W Genewie... wczoraj panowało silniejsze niż kiedykolwiek przekonanie, że wojna ta przebiegnie ku tym większej sławie Ligi Narodów". Dn. 21 listopada: „Negus, jak się zdaje, organizuje się metodycznie z zimną krwią. Niedawno złożył rządowi angielskiemu ofertę dostarczenia żołnierzy abisyńskich do zapewnienia obrony Sudanu, ofertę, na którą tradycyjne i przezorne „*wait and see*" (poczekamy i zobaczymy) było jedyną odpowiedzią".

Takie były informacje, dostarczone publiczności francuskiej przez rzekomo najlepiej wtajemniczoną korespondentkę. Nie lepiej było jednak i w prasie angielskiej. Słynny dziennik „Times", który żyje wciąż jeszcze reputacją, niewiadomo skąd wziętą, o rzekomej nadzwyczajnej solidności podawanych informacyj (pewno są solidne o ile ta solidność nie koliduje w danej chwili z interesem Anglii, lub pewnej kliki angielskiej), wypisywał niesłychane historie o położeniu Włoskich wojsk i używał do tych enuncjacji rzekomych „ekspertów".

A więc dn. 4 lutego taki rzeczoznawca zapewniał publiczność angielską, że wojska włoskie są zupełnie unieruchomione przez złą pogodę, a właśnie wtedy Włosi odnieśli jedno z większych zwycięstw nad siłami Rasa Desta. „Wydaje się jasne, pisał ów ekspert, że potrzebna koncentracja sił nie jest możliwa do przeprowadzenia na czas, aby dokonać jakiegoś ważniejszego postępu, zanim pogoda się przełamie i uniemożliwi wszelką akcję na czas dłuższy". Wynikało z tego, że o zwycięskiem zakończeniu kampanii przez Włochów w 1936 roku nie może być mowy.

I tak idzie przez całe stronnice. Można się dziś śmiać z blamażu rzekomo poważnych informatorów i solidnych pism, ale sprawa ma znaczenie bynajmniej nie humorystyczne. Przecież tak ugruntowane informacje nieurwały się na wojnie abisyńskiej i w dalszym ciągu o sprawach bieżących a tak groźnych publiczność w krajach, pyszniących się rzekomo najlepszą prasą, jest informowana w ten sam sposób, to jest zupełnie fantastycznie, odpowiednio do interesów jakiejś partii, czy kliki, a przecież na tych informacjach kształtuje się opinia, usypia się ją lub podnieca stosownie do potrzeb i jakichś ciemnych celów.

Z pozoru wszyscy są za zlokalizowaniem, wojny hiszpańskiej, ale czy wiele jest organów prasy, piszących o tem, co się dzieje w pogranicznych, katalońskich departamentach Francji, jak wygląda ta neutralność na tym niezmiernie ważnym odcinku, gdzie ludność po obu stronach jest pokrewna, nawykła do bliskich wzajemnych stosunków, a więc czujność władz powinna być szczególnie obudzona? Czy często czytamy o tem, że komory graniczne przestały tam funkcjonować że samochody z bronią i amunicją przejeżdżają granicę pełnym pędem, nie zatrzymywane przez nikogo? I że w ten sposób podtrzymuje się ognisko, z którego pożar może rychło ogarnąć cały świat. A wtedy opinia francuska stanie niespodziewanie przed faktem dokonanym, bez możności jakiejś reakcji, z wyjątkiem jednej.

Przed paru dniami czytaliśmy o wstrząsającym wrażeniu, jakie uczynił list otwarty znanego pisarza Jerzego Duhamela o tem, że wpodróży po świecie nabrał przekonania o śmiertelnem niebezpieczeństwie, grożącem Francji, o którem wiedzą wszyscy, oprócz Francuzów i dlatego dzwoni na alarm. Naprawdę trudno o surowszą ocenę roli skorumpowanej prasy.

ARGUS

NA MARGINESIE

Kołysanka

W porę dżdżystą
wstają z lasów
narody kazirodcze,
bajecznie senne!
Pod niebem głuchym
w silnem zachwyceniu
rozwidnia się wspaniałość
szlochających.
Czyste i cierpkie
umierają zwierzęta.
W żółtym księżycu
umierają potężnie.

Bęben, bęben.
Czy widzisz jak
ziewają pod wieczór
bestje dziewicze?
Słychać wśród drzew
śpiew koczkodana.
Suchą łapą iska się,
forsownie parny.
Kobieta go usypia,
pijana alkoholem.
Jest czarna i jędrna
jak elektryczność.

[Ze zbiorku (Warszawa 1936) „Wiersze i proza" Anny Świrszczyńskiej, laureatki „Wiad Lit." 1933].

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.